

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 20 KWIETNIA 1929 ROKU

NR. 16

TREŚĆ NUMERU: Czy w obronie rodziny?—*L. Rudoszuńska*. Wiek niebezpieczny — *Stefania Podhorska-Okółko*. Poezje: Strzępy i włókna: „Pośpiech“, „Puste tygodnie“, „Trudności“—*Kazimiera Illakowiczówna*. Niemowa — *Ewa Szelburg*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kobieta sędzią — *Zofja Miszewska*. Korespondencja z Anglii — *Han. Skar.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu—*Regina Zienkiewiczowa i N. J.* My i drudzy—*N. J.* Koło studjów gospodarstwa domowego—*Halina Przesmycka*. Sroga zima a rośliny—*Stan. Schönfeld*. Strach na wróble—*A. D.* Szczotki i ścierki — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Kapelusze — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Tablica kroju.

CZY W OBRONIE RODZINY?

Byliśmy świadkami ciekawej dyskusji na zjeździe Towarzystwa nauczycieli szkół średnich i wyższych, który się odbył w Warszawie w dn. 4 i 5 kwietnia r. b. Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, czy gimnazjum żeńskie, które winno być przeznaczone dla jednostek najzdolniejszych, pragnących się poświęcić w przyszłości pracy naukowej lub przygotować do zawodów, wymagających studjów akademickich, ma być pod względem programu i metod nauczania takie samo, jak gimnazjum męskie, służące tym samym celom, czy też winno, choćby kosztem obniżenia programu naukowego, uwzględniać koniecznie przygotowanie do przyszłego zawodu gospodyni i matki.

Zdawało się, że w chwili obecnej na to pytanie nie może być dwóch odpowiedzi, że już życie dawno rozstrzygnęło zagadnienie wyższego kształcenia kobiet narówni z mężczyznami, że zmienione warunki ekonomiczne zmusiły do kapitulacji nawet dawnych nieprzejednanych przeciwników równouprawnienia pod tym względem obu płci. Tymczasem część delegatów na Zjeździe, wśród których znalazło się jednak i parę kobiet, nie tylko głosowała przeciw wnioskowi, uznającemu do czasu istniejące status quo w gimnazjach żeńskich, ale domagała się w komisji, aby reforma ta, jako bardzo pilna, poprzedziła zamierzoną ogólną reformę szkolnictwa średniego. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu usłyszeliśmy te same argumenty, którymi posługiwano się przed 20—30 laty, te same dawno zapomniane obawy, te same zastrzeżenia, te same groźby i nawoływania. „Ratujmy rodzinę!“ — „Twórzmy hufce kobiece, gotowe spełniać zadanie życia rodzinnego!“.

Tak brzmią wezwania na Zjeździe nauczycieli, którzy winni sobie zdawać sprawę ze skomplikowanych warunków współczesnego życia, i którzy chyba dobrze rozumieją, że nie tą drogą należy dążyć do wzmocnienia węzłów życia rodzinnego. Czy wprowadzenie do gimnazjów żeńskich nauki psychologii, pedagogiki, higieny dziecka i gospodarstwa zapewni rodzinom trwałość i szczęście, czy w ten sposób dokona się „nastawienia psychiki dziewcząt do ich przyszłej roli“? Jest to, mojem zdaniem, nadużycie rzucanych haseł.

Łatwo posługiwać się frazesem w dyskusji, ale przyjrzeć się wypadom, jak wyglądałaby w życiu realizacja tych projektów. Przypuśćmy, że, nie czekając na ogólną reformę szkolnictwa średniego, opartą na wymaganiach współczesnej psychologii i dydaktyki, redukującą i zmieniającą dotychczasowe programy, wprowadzimy do gimnazjów żeńskich kilka nowych obowiązkowych przedmiotów. Ponieważ nie mogą one się zmieścić w dotychczasowym planie, obejmującym zresztą po ostatniem rozporządzeniu ministerstwa tylko 30 godzin tygodniowo, więc trzeba, albo zredukować liczbę godzin, a zatem i program innych przedmiotów, albo przedłużyć czas trwania nauki w gimnazjum do dziewięciu lat. Takie jedynie rozwiązania wskazywali zwolennicy różniczkowania programów w gimnazjum męskim i żeńskim, wykazując tem samem, jak nieżyciowym i nierealnym jest ich projekt. Jakież bowiem konsekwencje pociągnąć może za sobą każde z tych rozwiązań? Zrozumiałą jest rzecz, że redukcja programu pewnych przedmiotów, zmniejszenie zakresu wiadomości, uznanych dotąd za

niezbędne, musi utrudnić dziewczętom wstęp do szkół akademickich. Gdyby nawet, wbrew słusznym przewidywaniom, udało się dziewczętom uniknąć formalnych przeszkód przy przejściu ze szkoły średniej do akademickiej, to w żadnym razie nie unikną one straty czasu w studjach, koniecznej dla wyrównania braków w przygotowaniu.

Projekt zakładania 9 klasowych gimnazjów żeńskich, odpowiadających 8 klasowym męskim, już wyraźnie akcentuje stratę jednego roku życia. Przecież rok życia każdej z tych tysięcy dziewcząt, które muszą stawać do pracy narówni z mężczyznami, to tak poważny deficyt ekonomiczny, że niepodobna go okupić temi korzyściami, jakie im przyniesie znajomość pedagogicznych i psychologicznych teorii.

Wciąż jeszcze nie chcemy zdać sobie jasno sprawy z konieczności, zmuszającej kobietę do pracy na chleb powszedni, szczególnie często w zawodach t. zw. inteligentkich, gdzie jeden człowiek nie jest w stanie zapracować na utrzymanie rodziny, gdzie pomoc żony i córki staje się niezbędną, jeśli stopa życiowa nie ma spaść poniżej normy wymagań człowieka kulturalnego.

Wciąż jeszcze nie chcemy zerwać ze staroświeckim pojęciem pani domu, jako wystarczającego zawodu, a to jest przecież w dzisiejszych warunkach wyjątkiem, nie regułą. Zapominamy, że w Polsce 80 proc. kobiet pracuje zarobkowo i że stanowią one przeszło 40 proc. pracującej zawodowo ludności. Jeśli kobiecie nie damy gruntownego wykształcenia fachowego w szkole zawodowej, lub jeśli jej nie przygotowujemy w gimnazjum do wyższych studjów, aby z czasem mogła zająć stanowisko lekarki, dentystki, prawniczki, nauczycielki i t. p. — to wtedy dopiero powiedzieć będzie można, żeśmy uniemożliwili założenie wielkiej liczby rodzin, bo przygotowanie do zawodu — to jedyny posag, jaki możemy dziś dać naszym córkom, a praca zarobkowa — to często jedyne od tego posagu odsetki, które umożliwiają wychowanie i wykształcenie młodego pokolenia. I dlatego dziwić się nie trzeba, że ci sami ojcowie, którzy w imię podtrzymania dawnych tradycji rodzinnych wzywają do obniżenia programu nauki w gimnazjach żeńskich na rzecz przedmiotów, teoretycznie przygotowujących do przyszłych obowiązków żon i matek — sami, mając do wyboru różne rodzaje szkół, oddają swoje córki do najlepiej postawionych pod względem naukowym, by dzieciom swoim zapewnić przyszłość. Nie chcą bowiem wziąć na siebie odpowiedzialności za to, że córki ich niedouczone, nie posiadające fachu, mogłyby się stać w życiu ciężarem dla siebie i innych; że, nie mając zapewnionej samodzielnej egzystencji, mogłyby szukać ratunku w wyjściu zamaż za pierwszego lepszego, a potem tragedją całego życia zapłacić za winę rodziców, którzy przedewszystkiem myśleli o przygotowaniu ich do życia rodzinnego.

Najlepiej sobie z tego zdają sprawę same kobie-

ty z własnego bowiem doświadczenia poznały. czego im w życiu przedewszystkiem potrzeba. Dowodzą tego uchwały stowarzyszeń kobiecych, w których była przeprowadzona dyskusja nad potrzebami szkolnictwa żeńskiego, dowodzą artykuły w prasie, dowodzi wreszcie fakt, że i na zjeździe nauczycieli, o którym mowa, tylko jedna kobieta wypowiedziała się w dyskusji za zróżniczkowaniem programów w gimnazjum męskim i żeńskim.

Mówiono nam przed 25 laty: „Nie tędy droga, szanowne panie“!, a dziś my musimy odpowiedzieć: „Naszą drogę wytknęło nam życie i jego konieczności. Tą, którą nam dziś wskazują niektórzy z was, szanowni panowie, nie pójdziemy, bo już pójść nie możemy“.

Nie przeczę, że mogłoby być pożądanem, aby każda szkoła, a więc i gimnazjum, przygotowujące do szkół akademickich, mogło uwzględnić wszystkie potrzeby przyszłego życia i rozszerzyć dawaną wiedzę przez uwzględnienie takich przedmiotów, jak higiena dziecka, psychologia dziecka, zasady naukowej organizacji gospodarstwa domowego, ale w ramy dotychczasowych programów tych przedmiotów wtłoczyć się nie da. Dziś, gdy dla uniknięcia przeciążenia w szkole kasuje się lekcje śpiewu i rysunków, redukuje nawet godziny języka ojczystego, nie do pomyslenia jest wprowadzenie nowych przedmiotów obowiązkowych w godzinach szkolnych; możliwe natomiast jest traktowanie „przysposobienia rodzinnego“ dziewcząt narówni z „przysposobieniem wojskowem“ chłopców, lub zorganizowanie odpowiednich kursów, na których dziewczęta już po skończeniu gimnazjum, a więc w wieku bardziej do tego się nadającym, mogłyby zdobyć odpowiednie przygotowanie.

Co zaś do nastawienia psychiki dziewcząt do ich przyszłej roli „żon i matek“, to ta sporna co do swej celowości, sprawa, w każdym razie należeć może wyłącznie do rodziny. W tym względzie szkoła rodziny zastąpić nie może i nie powinna. Atmosfera, panująca w domu, działa napewno więcej, niż najmędrsze „pouczenia“ szkolne.

Przykład matki, umiejacej godzić pracę zawodową z obowiązkami rodzinnymi, ma znaczenie pierwszorzędne. Jednak przyznać trzeba, że w ostatnich czasach dom wyrzekał się często tego oddziaływania. Rzadko córka, uczęszczająca do gimnazjum, jest w domu powoływana do wyręczania matki, czy to w gospodarstwie, czy w pielęgnowaniu młodszego rodzeństwa. A takie praktyczne zapoznanie się z obowiązkami, które ją w przyszłym życiu czekają, napewno lepszy wydałoby rezultat, niż zbiorowe nauczanie w szkole pewnych teoretycznych przedmiotów, które w wieku szkolnym nie mogą być traktowane na odpowiednim poziomie naukowym.

Wszystkie kobiety, a w pierwszym rzędzie te, które same z takim trudem zdobywały możliwość wyższego kształcenia się, i te, które chciałyby swoim cór-

kom oszczędzić choć tych trudności, wszystkie, które rozumieją, na czym polega istotne dobro rodziny, — muszą z całą energją odeprzeć wszelkie zamachy na rzeczywiste prawo kobiet do kształcenia się w wyższych uczelniach; muszą przeciwstawić się takiej reformie szkoły żeńskiej, która, jak słusznie powiedziano na zjeździe, jest tylko „maskowanym odwró-

tem ze zdobytych pozycji, rezygnacją z osiągniętego postępu, wznowieniem przezwyjęzionych już i dawno przeżytych typów szkół”.

Musimy to uczynić nie tylko w imię interesów naszych córek, lecz przede wszystkim w imię możliwości zakładania ognisk rodzinnych, a więc w imię potrzeb całego społeczeństwa.

L. Rudoszańska.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁOWA

WIEK NIEBEZPIECZNY

Wiek niebezpieczny! Okropne słowo. Widmo, którem można straszyć kobiety, jak dawniej straszono dzieci kominiarzem. Dawniej, bo dzisiejsze dzieci już się kominiarza nie boją. Przeprowadziły rewizję bajek i straszków, wymyślonych podstępnie przez dorosłych gwoili utrzymania dzieci w posłuchu, częściej dla własnej wygody, niż dla dobra młodszego pokolenia. Ale ten system się mści. Realizm dzisiejszego dziecka podważa możliwość złudzenia. A postawa kobiety wobec utartych kanonów znamionuje gwałtowną reakcję.

Wiek niebezpieczny! Tragedja kobiety starzejącej się! Czyż to nie brzmi jak tytuł propagandowego filmu? Filmu, skomponowanego na użytek kobiety przez tych, którym chodzi o usunięcie słabszego przeciwnika z areny, o złożenie do archiwum pewnych dokumentów życiowych, które już straciły walor, a puszczanie w obieg nowych akcyj, pociągających czarem aktualności?

Co mówi? o czym poucza? przed czym przestrzega kobietę czterdziestoletnią to słowo „wiek niebezpieczny”? Mówi do niej:

— Przekraczasz Rubikon! Wstąpiłaś na przełęcz życia, poza którą rozciąga się pustynia starości. Czy jesteś do tej podróży przygotowana? Czy wiesz, że młodość jest okrutna? Czy będziesz umiała wporę się zestarzeć? Czy starczy ci odwagi na samotność?

Tyle pytań a na każde trzeba dać odpowiedź. Nie słowami, ale czynem. Czynem, który nie może być wyrazem rozpacz, ale spokoju i równowagi. W myśl tradycji, która stała się niemal prawem, kobieta dorosła musi być zrównoważoną, w myśl tej samej tradycji, która sankcjonuje męskie szaleństwo, lekkomyślność i niekonsekwencje. Czy nie za wiele, jak na wiek niebezpieczny, z którym kobieta staje oko w oko, najczęściej nieprzygotowana do walki, rozbijona z tych wszystkich uroków młodości, które opa-

dają z niej kolejno, jak łuski pancerza? Czy nie za wiele?

Ciężko jest rezygnować z dóbr, które uważaliśmy za naszą bezsprzeczną własność; każda kapitulacja jest trudna, można jednak zawsze wycofać się z placu boju z honorem, unosząc z sobą w zacisze swego wnętrza nietknięty sztandar godności kobiecej. Ale zanim to nastąpi, trzeba wprzód poddać rewizji bajki i straszków, zdetronizować kominiarza i dziada, zdemaskować widma i upiory wieku niebezpiecznego.

Że wiek niebezpieczny istnieje, że jest faktem, z którym poważnie liczy się medycyna, o tem chyba nikt nie wątpi. Ale dlaczego czynimy zeń wyłączny przywilej kobiet? Czyż mężczyźni nie przeżywają, w nieco odmiennej może formie, swego wieku niebezpiecznego? Czyż nigdy żal za utraconą młodością nie popycha ich do kroków śmiesznych i szalonych? Ileż razy instynkt samozachowawczy starzejącego się mężczyzny rzuca go w objęcia młodzieńczej dziewczyny na krótką chwilę problematycznego szczęścia, na długie lata wzajemnej krzywdy, żalu, dysharmonji i niezrozumienia. Bo ten sam instynkt samozachowawczy, za którego głosem poszedł ślepo mężczyzna, przemówi z czasem i u kobiety, a przemówi tem mocniej, im mniej wzięła od życia w młodości. Tylko, że u niej będzie się to nazywało histerją, a u mężczyzny — prawem fizjologicznem.

Prawo fizjologiczne! Parawan, którym od wieków maskuje się wszelkie nadużycia z dziedziny etyki seksualnej, rodzinnej, społecznej. Czyż nie w imię rzekomych praw fizjologicznych wydawano dawniej piętnastoletnie dziewczątka za sześćdziesięcioletnich starców, szpecone mężatki czepecem, a nadmiar córek oddawano do klasztoru, „żeby się majątek nie dzielił”? W tym ostatnim wypadku wchodziły coprawda w grę i czynniki ekonomiczne, przede wszystkim jednak de-

cydowała racja stanu: wygoda i przyjemność pana stworzenia

Fizjologją chciano usprawiedliwić największą ohydę dwudziestego wieku: prostytutkę. Pod płaszczykiem przyrodniczym zwalczano równouprawnienie kobiet. Twierdzono, że ustrój kobiety nie znieś studiów uniwersyteckich, że nie pozwoli jej być lekarzem, sędzią, inżynierem. Okazało się, że można zostać doktorem, nie przestając być kobietą, nawet kobietą ładną i bardziej pożądaną przez mężczyzn od bezdusznej lalki.

Życie na każdym kroku zadaje klam martwej teorii. Nietylko usposobienie kobiety, ale i jej organizm z błyskawiczną szybkością przystosowuje się do nowych warunków życia. Po wojnie mężczyźni uczuli się zaskoczeni niesłychaną obfitością kobiet młodych, których wieku niepodobna było określić. Wszystkie były jednak czynne, ruchliwe, sprężyste, tryskające energią i radością życia. Poprostu kobieta, którą wojna wyzwoliła z gynecium, zaczęła brać odwet za zmarnowane lata.

Stopniowo zanikał i przestał wchodzić w rachubę wegetatywny typ kobiety, przedwcześnie podstarzałej, zgorzkniałej i zakisłej w dusznej atmosferze frasunków kuchennie-spiżarnianych. Okazało się, że jednostronne dreptanie po domu bardziej wycieńcza i wyjaławia kobietę, niż lot przez Atlantyk. Ten właśnie jednostajny kierat domowy zastawia na wpręgniętą weń istotę najgroźniejsze sidła i pułapki wieku niebezpiecznego.

Bo pomyślny tylko: jedyną okrasą jej szarej wegetacji jest życie erotyczne. Z chwilą, gdy przestaje być kobietą, wszystko dla niej się kończy. Następuje śmierć za życia, śmierć kobiecości.

Dzieci? jakże dziś prędko porastają w piórka i skwapliwie wylatują poza obręb ciasnych horyzontów matki, która już dawno zatraciła własną indywidualność!

Mąż? Nie miała nigdy czasu, ani okazji, aby stać się jego przyjacielem; z chwilą, gdy przestała być żoną, staje się czemś w rodzaju starodawnej rezydentki, którą się w domu toleruje, ale z którą nikt się nie liczy. I wtedy przed zdezorientowaną nagle kobietą otwierają się dwie drogi postępowania; jedna, to linja najmniejszego oporu, a zarazem uporczywej walki o swoje prawa: zatruwać życie mężowi scenami zazdrości i ustawicznym gderaniem, aby w ten sposób zachować choćby pozory utraconego prestige'u; — druga, wymagająca wielkiego hartu ducha, wrodzonego taktu i słodczy charakteru, to dobrowolne zamknięcie się w cichej kapliczce rezygnacji.

Ale ani jedna, ani druga droga nie rozwiązuje konfliktu wieku niebezpiecznego. Nad głową starzejącej się kobiety, która całe życie pracowała dla innych, zawisa klęska samotności i duchowego ubóstwa. Oddała wszystko, co miała, nieopatrznie roztrwoniła najcenniejsze skarby swej kobiecości na dro-

goczenie wydatki, które nawet w pozycjach bilansu życiowego nie figurują, a teraz niepotrzebna jest nikomu.

I w tem właśnie tkwi zatrute ostrze wieku niebezpiecznego. Kobieta musi być komuś na coś potrzebna, inaczej zabija w sobie młodość. Im więcej ma do dania z siebie, tem jest młodsza, nawet wbrew swemu wiekowi. I dlatego w imię dobra naszych najbliższych powinniśmy hamować w sobie wrodzony nam instynkt ofiary i poświęcenia, nakładać wędzidło naszej hojności, w latach urodzajnych gromadzić zapasy na długie lata głodu, na podróż przez pustynię. Inaczej reaguje na wiek niebezpieczny kobieta samodzielna i samotna. Budzą się w niej spóźnione, a zazwyczaj już nieosiągalne pragnienia macierzyństwa, tęsknota za własnym dzieckiem, domem, ogniskiem rodzinnym. Osoba męża stanowi najczęściej tylko pośrednie ogniwo w tym łańcuchu marzeń. Rozczarowana samotnica staje na progu życiowego bankructwa. Ogłasza dewaluację samowystarczalności. Histerycznie przecenia ciepło gniazda rodzinnego. W rezultacie opuszcza ręce, składa broń i pogrąża się w duchowej prostracji. I tu właśnie wychodzi na jaw jej krótkowzroczność i nieznajomość własnych sił.

Kiedy Karin Michaelis pisała swój „Niebezpieczny wiek“, kobieta była jeszcze niewolnicą fizjologii. Dzisiaj coraz bardziej wyzwala się z jej więzów. Wiek balzakowski posuwa się naprzód z tak rekordową szybkością, że kobieta współczesna nie może go dogonić. Coraz częściej widzimy kobiety pięćdziesięcioletnie, które zdumiewają świeżością, urodą, giętkością umysłu i smukłością linji, wszystkimi urokami nieklamanej młodości.

I to nie dlatego, żeby one o tem starały się przekonać świat. Wręcz przeciwnie: właśnie ich otoczenie sugestjonuje im młodość. Są to zazwyczaj natury bogate, które umieją wziąć od życia to, co im się należy, ale poczuwają się do oddawania życiu z nawiązką tego, co im było darowane. Mężowie tych kobiet, niejednokrotnie znacznie od nich młodszy, wyglądają na zadowolonych i szczęśliwych. Są nimi napewno. Kobieta szczęśliwa ma w sobie tyle sił żywotnych, że może zatrzymać czas, zniwelować różnice wieku. Nowoczesna higiena, sport, wzmożone tempo życia, wielostronność zainteresowań i czynności, płynący z nich nurt siły i pogody, ustawiczna kontrola, jaką nad wyglądem kobiety roztacza życie towarzyskie, czujny autokrytycyzm, świadomość własnej wartości — oto kamienie, na których tępi się kosa wieku niebezpiecznego.

Starość nie jest klęską — jest koniecznością, z którą trzeba się liczyć, do której trzeba przygotować się zawczasu. A te z nas, które szczęśliwie zawiwały do cichej przystani starości, mogą z dumą powtórzyć zdanie Marji Kuncewiczowej w jej wstępie do „Wieków niebezpiecznych“:

„Samice przemijają — kobiety żyją wiecznie“.

KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

STRZĘPY I WŁÓKNA

POŚPIECH

Najcichsze pocałunki, przysięgi najbardziej zuchwale
 Weź, weź wszystko, co cię pocieszy,
 bo oto ster nastawiono już na czarną śmierci skałę,
 a micher popycha, a czas się śpieszy.
 I rośnie przez horyzont i coraz się przybliża
 z ramionami wszerz rozwartemi
 widmo innej potęgi, zwycięskie zjawisko Krzyża,
 co miłość rodziera Ziemi.

PUSTE TYGODNIE

Wzięto odemnie miłość, rozbito ją na paciorki...
 Jak czarne są poniedziałki, jak szare — piątki i wtorki;
 Środy i czwartki, niczyjem imieniem nie przeplecione,
 rozpadły się, jak włos rozsypany na wszystkie strony;
 Sobota jest jak suknia bez ładu i składu i celu...
 A najgorsza — na sztylet robita i konająca jak motyl
 stubarny — niedziela.

TRUDNOŚCI

Nie wiemy — jak przemówić, spotkać się nie umiemy...
 O różo, różo czerwona, powiedz ukochanemu,
 żeś mię widziała tutaj od płaczu pobielalą,
 że życie — bardzo krótkie, niewiele go zostało,
 że w nocy anioł mię budzi, jego imieniem rozrywa...
 O różo, różo czerwona, powiedz mu — niech przybywa!



EWA SZELBURG

NIEMOWA

Brat Anzelm porzucił bity gościniec, powleczonej cienką polewą wiosennego błota. Uniósłszy poły burego habitu, przekroczył zbrukany śnieg, utajony w rowie, i zeszedł szparko na rozjeżdżoną polną drogę.

Stały tu gęsto kałuże, niczem obraz ludzkiego żywota — gładkie i jasne z wierzchu, a ciemne i brudne od spodu.

Brat Anzelm stapał środkiem drogi. Mocne, nagie jego stopy, przyodziane ledwo rzemieniem skąpych trepciów, okryły się po kostki szaremi, pokornymi całunkami rozmarzającej ziemi, a kosmate, żylaste łydki szczerwieniły do kolan od zimnych, obficie tryskających łez tającego śniegu.

Brat Anzelm podkasał habit i z miękkiej drogi polnej przeszedł na rudą miedzę.

Po lewej i po prawej jego ręce, dotrzymując mu kroku, szły gęstymi rządkami piórka żytnie, raz wraz pochylając i prostując wąziutkie i blade plecy, utrudzone nadmiernie dźwiganiem kopiastego śniegu od dnia listopadowego aż po wczorajszy dzień kwietniowy.

Nad czarnem kretowiskiem granicznego kopca wstało pierwsze wiosenne słońce. Jest ono jeszcze nieco zimne, ale o czystym, jasnym blasku.

Skropione nim wątle, blade piórka żyt zjedrniały w oczach i pociemniały od zbudzonej z nagła, jurnej zielonej krwi; szara dotąd ziemia okryła się na ciełe zdrowym, czarnym rumieńcem, a z nabrzmiałych gałęzi łąkowych wierzb wytrysły gęsto złote krople, na kilka wiorst wkoło obiecując pokarm wygłodzonemu pszczołom po dalekich wsiowych ulach!

Brat Anzelm z lubością pociągnął odwilgłym nosem. Oczy miał teraz tak szczerze nalane błękitem, że zaprawdę, zdały się być skrawkami nieba. Złożył nagie dłonie na piersiach, okrytych mnisim samodziąłem, i, jaskając się od wielkiej radości, zalewającej boskim strumieniem nieporadny ludzki język, powiadał raz po raz jedne i te same słowa zagonom i brózdom, wierzbom kwitnącym i pszczołom, wszystkiemu, co jawnie czuje, a także i temu, co wrzeczy nieżyjące, a przecie jest czujące skrycie:

— Z martwych powstał Pan, jako był przyobiegał, i z martwych wywiódł świat na wiosenne słońce. Cieszcie się, a radujcie w Panu!

Tak oto brat Anzelm, głośno Boga chwalcący, zrazu stąpając miedzą, a potem dążąc naprzelaj łąkami, zaszedł nad brzeg wody, która dopiero co była ruszyła.

Bystry, wyzwolony już nurt parł rącho środkiem koryta, dudniąc i wstrząsając grzywą pian, a bokami spływały płaskie, jak pletwy i jak pletwy śliskie, kry-

lodowe, trąc się o zwiędłe, szeleszczące trzciny i o smukłe wierzbowe pręty, powleczone szczelnie przylegającą skórą, gładką i gorzkawą.

Brat Anzelm zatrzymał się wpodłe zbudzonej rzeki i odpoczywał z oczami w błękitcie.

Poczem, gdy serce jego stało się równie błękitne i ciche, jak proste niebo wiosennego ranka, rozpięte blisko ziemi, a daleko od ludzi, brat Anzelm, na pochylony pień olchy wylazłszy — niczem na most, wieszający nad otchłanią — jał wzorem umiłowanego przez się świętego Antoniego przemawiać sposobem kazania w imię boże do ryb, ukrytych w żywej wodnej głębi:

— „Słuchajcie słowa bożego, ryby rzeczne...”. Z martwych powstał Pan, jako był przyobiegał, i z martwych wywiódł świat na wiosenne słońce. Cieszcie się, a radujcie w Panu!

Lecz, gdy to rzekł, nie przyplłynęło doń żadne „mnóstwo ryb wielkich, małych i średnich”... nie dzierżyły głów ponad wodą i nie „patrzyły mu w twarz”, jak to czyniły ongiś za dni świętego Antoniego i świętego Franciszka.

— Snać nie zbudziły się jeszcze z zimowej trętoty — pomyślał brat Anzelm i, podniósłszy głos, z cierpliwością wielką starszego brata-człowieka przemawiać jał słowami Świętego do niemych stworzeń, utajonych w fali:

— Siostry moje, ryby! jesteście wielce obowiązane, wedle możności swojej, dziękować Stwórcy naszemu, że dał wam żywioł tak szlachetny na mieszkanie wasze. Albowiem, wedle upodobania, macie wody słodkie i słone. I dał wam wiele kryjówek dla ochrony przed burzami. Dał wam też żywioł czysty i przejrzysty i pokarm, którym żyć możecie. Bóg, Stwórca wasz uprzejmy i dobrotliwy, stworzywszy was, przykazał wam rósć i mnożyć się i udzielił wam błogosławieństwa Swego.

Potem, gdy potop nastąpił powszechny, kiedy wszystkie inne zwierzęta zginęły, was tylko ustrzegł Bóg od szkody. Nadto dał wam pletwy, byście pływać mogły, gdzie wam się podoba.

Dane wam było z rozkazu bożego ocalić proroka Jonasza, a potem, trzeciego dnia, zdrowego i całego na brzeg wyrzucić. Wyście przyniosły grosz czynszowy Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, który, ubogi będąc, nie miał czym płacić. Wyście pokarmem były Króla wiecznego, Jezusa Chrystusa, przed zmartwychwstaniem i po nim, mocą tajemnicy osobliwej.

Za to winnyście wszystkie bardzo chwalić i błogosławić Boga, który wam tyle wyświadczył dobrodzieństw, więcej, niż innym stworzeniom”.

„Przecz milczycie?...

A gdy to mówił brat Anzelm, wstrzymał się w biegu nurt rwący, a kry, spłynawszy gładko w dół wody, odsłoniły toń głęboką i czystą. I oto na samem dnie, pod ciężkimi falami, ujrzał brat Anzelm mnóstwo wielkie ryb, do których kazał był z brzegu.

Stały tam wieńcem lśniącym wąskie, jak klinga, szczupaki o stalowych grzbietach i szerokie w bokach i w karku karpie o złotej łusce kształtu półksiężyców; stały gładkie, białe płocie z krwistymi skrzelami i czarne sumy o wargach ocienionych krągłym, miękkim wąsem, a także cienkie leszcze, złote liny, przycięte krótko tępogłowe kielbie i długie węgorze o pyskach, podobnych do dzioba — wszystkie w nienaruszonej zgodzie, w myślącym ładzie i rozumnym porządku.

Pochyliwszy się niżej nad wodą i przyjrzawszy się bacznie, rozumiał brat Anzelm, iż nieme stworzenia, w sercu ziemi na dnie ożyłych wód skryte, ado-

rację czynią, a bezgłośnie otwierając pyszczki i pochylając głowy, przedziwnymi ruchami radości wedle możliwości swej wielbią... Cień Chrystusa Pana, który, gdy Chrystus Par szedł w on czas Burzy po wodzie, na dno fali opadł i tam został.

Odszedłszy nieco z miejsca tego, brat Anzelm obmytemi oczami ogarnął na nowo świat, leżący przed nim i za nim, a także z lewego i z prawego boku.

A tak objawwszy go wzrokiem jasnym i nieprzyćmionym, ujrzał brat Anzelm nad podziw wyraźnie, iż świat ziemski jest to Cień Boga, rzucony na ciche wody niezgłębionej niebieskiej Wieczności.

... Drobne słowa głośniejszej modlitwy uwiędły mu na wargach.

Wieknieste milczenie, milczenie tak wielkie, jak cud, na który oto patrzy, wypełniło jego nieme odtąd usta.

Dębowałaka, w kwietniu.



M. H. SZPYRKÓWNA

13)

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

P. S. Czy pamiętasz, mimo wszystko, że posłałam ci kiedyś maszynę trykotarską? Nie wątpiłam, że się wtedy oburzysz. Jednak zwracam uwagę, że może się dla ciebie stać obecnie źródłem poważnego zarobku. Bona moich synów dostała kiedyś taką samą (od Mimiśia; miał zapewne powody do tak kosztownych upominków, no, bo ja to ci posłałam raczej przez przewidującą troskliwość) — i żyje z tego doskonale, a nawet widziałam ją kiedyś w teatrze. Na szczęście, miała ten takt, że nie przyszła się witać, co nie o wszystkich dałoby się zgóry, niestety!.. powiedzieć. Przytem, roboty ręczne świetnie odciągają od mózgu myśli — gdybyś na nadmiar myśli kiedykolwiek wogóle cierpieć miała. I zdaje mi się, że jest to już wszystko, co sobie do powiedzenia mamy, nieprawdaż?.. Resztę dopowiem twemu mężowi, z którym, mimo wszystko, rozumiemy się lepiej: wspólna sfera ma swoje znaczenie. Nie jestem tylko pewna, czy będzie miał okazję powtórzyć ci osobiście cokolwiekbym mu poleciła? Znając go, obawiam się (dla ciebie), że raczej — nie!

* * *

List ten posiadam dotąd. Jest dolepiiony do mego pamiętnika. Nie mam pojęcia, czy można zdać sobie

sprawę w tym samym stopniu, co ja, która znałam Lorę osobiście, jak dalece każde jego zdanie było zatrute i przygotowane ku ukłuciu, jak żądło tresowanej osy? Był swojego rodzaju arcydziełem. Przeczytałam go raz i drugi w głębokim i niejako nieosobowym zdumieniu, że tyle jadu w jednej — a tak prześlicznej istocie mieścić się może. Nienawidziła mnie, było to zbyt wyraźne! I z jakichże powodów? Wystarczał jeden: że dzięki mnie baron — wprawdzie tylko na krótko, wprawdzie tylko dla interesu — ale sprzeniewierzył się jej samowładnemu czarowi! Ubliżył królowej! Że w nim się nigdy naprawdę nie kochała — nie ulegało wątpliwości. Ale śmiał iść wbrew jej woli! Gdyby przeczekał trochę, zapewne sama udzieliłaby mu absolutum na małżeństwo ze mną i, kto wie, czy wtedy nawet nie nastawiłaby sobie tylko znanymi sposobami ciotki Gertrudy na zapisanie mi takiej czy innej sumy, lub na większy posag. Naogół, była chciwa i wyrachowana, ale fantazje swoje ceniła drożej nad pieniądze: dogadzało jej czasem być dobrą wróżką, jak na przykład w stosunku do mnie przez pierwsze dwa lata mego pobytu u ciotki: gdyby nie Lora, która mnie niejako odkryła, zszarzałabym, jak panna Dominika, na dożywociu u ciotki, rodzaj rezydentki na prawach

krewniej. Wtedy zachwyciły ją moje złote włosy i cera „jaką tylko na waszem białowieskim kwaśnem mleku jeszcze w dzisiejszych zepsutych czasach mieć się zdarza!...”. Zresztą, jak połapałam się potem, à conto mnie Lorcia szafowała dość swobodnie kredytem ciotki po firmach i hotelach zagranicą. A bawiła ją może i moja naiwność, dokąd... nie byłam poza jej własną świetnością widoczna. Ale po dwu latach spostrzegła nagle, że — zaczęłam istnieć i dla jej wielbicieli: że Jurek ze mną chętnie idzie na spacer, że Mimiś nawet zdobywa się na odruchy galanterji w formie tłustych aluzji i rozgłosnie-końskiego: — Ho-ho-ho!... — i że wreszcie sam „Le prince Imperméable”, jak żartobliwie za jego opinię niezdojbytego zdobywcy ochrzciła barona — zaczyna mi asystować. A właśnie była w trakcie zdobywania jego skalpu dla swojej kolekcji podbojowej i nie zamierzała ustąpić przed czasem. Nie wiem, dlaczego, uważał za stosowne postąpić inaczej — i trafiłam między krzyżujące się ostrza dwu zbyt wytrawnych szermierzy, abym nie została przesyta z dwu stron. Byłam właściwie nieistotną w zasadzie przyczyną ich pojedynku — i, mądrzejsza w doświadczenie, zgadłabym, że zapiją wcześniej lub później tę chwilową niezgodę puhaem przymierza — pozamną czy ponademną?... zależało od tego, czy zdolałam wstać i ratować się z pod razów, czy też, rażona zbyt mocno, padnę bez sił?

I oto powstawał problemat. Czy miałam paść? Czy było mi wolno teraz, kiedy miałam córeczkę, dać po sobie przejść, jak po trupie, tym dwojgu, z których mnie jedno — sprzedało, a drugie — nabyło i odrzucało teraz, jak fałszowany towar, kupiony u przemyślnika bez cła? Porachunki między nimi mnie nie obchodziły: wyobrażałam sobie, jakie węzowisko zakłębi się tam gdzieś na jasnym brzegu pomiędzy tylni dwojgiem, w godzinie wzajemnych porachunków! Baron nie daruje Lorze zagarnięcia spadku po ciotce z moją — nie! ze swoją krzywdą, bo przecież na to liczył! A Lora naturalnie nie daruje okazji ośmieszyć go jeszcze stokrotnie wypomnieniem, że uprzedzała o walce na szach i mat. Zaszachowała na ten raz nawet jego i — nie przewidywałam jednak, w jakiej mierze — wywołała przez to w nim nietylko pasję, ale i... uwielbienie. Prawo — to siła! Zasadzie tej hołdował ponad wszystkie; miał ten spryt, że spotkawszy silniejszego od siebie przeciwnika, stawał się jego sprzymierzeńcem. Dokąd uważał Lorę za uroczą, ale despotyczną kokietkę, która zdobywa tylko sukcesy — sprzeciwił się jej bez wahania. Ale z chwilą, gdy się przekonał, że pozatem jest niebezpiecznym wrogiem...

Wtedy jednak, poza wzmiankami Dominiki, że są razem na Jasnym Brzegu, nic o ich przymierzu nad moim niejako trupem nie wiedziałam jeszcze dokładnie.

* * *

Drugi list był od barona. Serce słabo i boleśnie

się zatrzepotało, kiedy otwierałam tę kopertę. Nie miałam odwagi! Tyle bólu trzeba będzie znieść! Był okrutny, był potworny! zabił we mnie wszystko najlepsze — ale był przecież! przecież! moim pierwszym kochankiem, panem mego ciała! Odruchy, niezależne od woli, głębokie utajonemi prawami, o których nie wiedział mózg, żyły wspomnieniem, którego nie zatarł nawet ten niewiarogodny okres poniewierki moralnej. Był pierwszym mężczyzną w mojem istnieniu, przytem pięknym i zagadkowym, jak powieść — i jakże wiele rzeczy teraz mówię o nim inaczej, niż myślałam wtedy, bo nie rozumiałam ich nawet wtedy tak!... Dopiero czas mi je wyjaśnił, i, patrząc wstecz, nie mogę już znaleźć tego czystego, bezpośredniego tonu uczuć ówczesnych! Bolało we mnie całe sponiewierane obnażenie!

Co? W jakich słowach? I o czym? będzie mi mówił ten list, tak ciężki, jakdyby zawierał cały foljał papieru? Czy może — może to wszystko jest jakaś tajemnica, jakieś straszne nieporozumienie? Może tłumaczy mi i wyjaśnia, może prosi wybaczyć — może to wszystko nie jest jeszcze tak złe? Może dla tego maleństwa w koszyczku od bielizny można będzie jednak wziąć za włosy własną duszę, podnieść i powiedzieć jej: — Przebacz?...

Otwierałam list, i ręce mi drżały. Przytuliłam na chwilę czoło do podusieczki, na której słodko posapywała Hanuśka. Maleństwo! Nie przypuszczała nawet, jakie burze przechodzą w tej chwili nad nieśczęsną głową jej matki. A miałam wtedy — wiele?... Dziewiętnaście lat!...

Z koperty wypadł sztywny karton, z monogramem mego męża i kilkunastoma zdaniem. Pozatem — plik papierów formatu biurowego. Co to miało być?

Serce mi krótko stanęło. Złe przecucie uderzyło, jak czerwony cios, na mózg.

Karton zawierał bez wstępu oświadczenie, jak niżej:

„Spodziewam się, że bez niepotrzebnych dywersyj pani podpisze papiery, które załączam. Jest to podanie o rozwód, zredagowane przez mego adwokata. Nie sądzę, ażeby istniały złudzenia, co do dalszego naszego pożycia. Uczyniłem zadość moim obowiązkom dżentelmeńskim, biorąc ślub z ubogą kuzynką znajomych, u których bawiłem, skoro okoliczności przelotnego zresztą flirtu stały się dla niej zbyt kompromitujące (nie potrzebuję przypominać owego nocnego spotkania w chińskiej altance, które skutkiem interwencji hrabiego spowodowało przymusowy ślub). Pewnie nieformalności w jego zawarciu, jak brak świadka, niepełnoletność i t. d., są dodatkowym ułatwieniem, które przyspieszy przewlekły proceder. Dziecko ma nazwisko, a pani osobiście, sądzę, że dostatecznie zabezpieczona — względnie do poprzedniego uposażenia — sumą, złożoną do banku przez jej kuzynkę. Koszta, przy stanowisku przychylnem, po-

niosę sam. Naturalnie, nie potrzebuję dodawać, że o ile z tych czy innych względów chciałaby się pani rozwodowi przeciwstawić, nie będę się poczuwał do obowiązku finansowania nadal osoby, z żadnego stanowiska mi nie odpowiadającej, i której zbyt hojnie zrewanżowałem nazwiskiem niezbyt wyraźne pochodzenie. Wobec trzyletniego kontraktu na zamek, może pani tam udać się po wyjściu ze szpitala z dzieckiem i przeczekać czas do zakończenia sprawy rozwodowej, zwłaszcza, że nie jest pozbawiona teraz własnych środków utrzymania. Osobiście wątpię, czy wrócę przed rozwodem. Papiery proszę bezzwłocznie przesłać zpowrotem podług adresu adwokata“.

Po podpisie całym nazwiskiem, z tytułem i przydomkami, widniał jeszcze innym atramentem i w innym, późniejszym zapewne czasie zrobiony dopisek:

„Nie radzę robić trudności. Konsekwencje mogą być przykre dla pani, zarówno jak dla dziecka“.

* * *

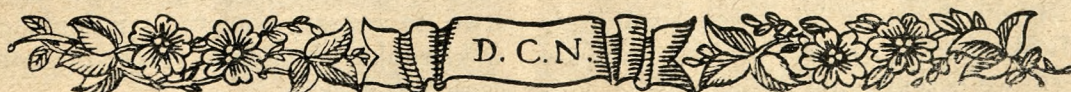
Ręce mi opadły na kolana. List zsunął się na podłogę. Cała czułam się tak, że padnę lada chwila, jak przełamana przez środek kręgosłupa, i przestanę żyć. Zadużo tego było, ach! Zadużo! I zabardzo szybko razem! Gdybym teraz zaczęła myśleć — popadłabym w szal. Czułam się małym, słabym zwierzątkiem, zagnanym przez ogary do utraty sił i które już oto nie ma gdzie się schronić, nie ma dokąd uciec. A przecież musiałam uciec, a przecież nie mogłam się dać zjeść! Bo ze mną zjedliby i kruszynę, ufnie przytuloną przy mojej piersi. Boże, sił! sił! Nie błagałam o zmianę, nie prosiłam o pofolgowanie razów losu — tylko o siły, abym je zdołała znieść! I w tej ostatniej, w tej najcięższej niedoli poznałam, jaką to dźwignię i jaką potęgę zawiera dla samotnej i upadającej pod swoim, zasłużonym może, krzyżem duszy, pojęcie, które w szczęściu — jest nieraz tylko słowem, a w bólu — staje się żywą, tajemną, ale istotną obecnością: a które nazywa się: Bóg!

* * *

Nazajutrz poraz pierwszy wyszłam ze szpitala na dwie godziny. Jedną spędziłam w kościele sama. Drugą — u spowiedzi. Była to pierwsza moja spowiedź niejako z dobrej woli, z pełni ducha. Musiałam! I nie zawiodłam się, bo instynkt jest mądrzejszy od nabytej mądrości. Wstałam z klęczek wzruszona i zapłakana, ale dojrzała o wiele lat i — silniejsza o wiele sił. I postanowiłam podjąć ciężar, który na mnie spadł, w duchu, jaki jedynie uważałam za możliwe spowiednik: przeciwstawić się do ostatnich granic rozwodowi, którego kościół katolicki nie uznaje. A wszelkim innym sposobom, jakie się mogą

znaleźć dla obejścia tego kanonu — nie dopomagać przynajmniej zgodą. I zresztą, na miły Bóg!... dokądże miałam iść, chora jeszcze i nic nie umiejąca, odzwyczajona od pracowitego życia małych ludzi, a znarowiona już do zbytku wielkich świata? Dokądże miałam iść z malutkim dzieckiem, mając te wspomniane i wytarżane w jadzie dwadzieścia tysięcy, z których część już pochłonął szpital? Co można było za to mieć? Może magiel, czy pralnię chemiczną? Może — pensjonat, czy letnisko? Nie wiedziałam! Ale wiedziałam, że nie potrafię ich mieć: moich rąk pieniądze się nie trzymały! A... wrócić na leśniczówkę?... Zamykałam boleśnie oczy na samą o tem myśl i kurczyłam się w sobie. Tam, skąd odjechałam w triumfie i uwielbionych szeptach, tam, gdzie podziwiano mnie, jak księżniczkę z bajki w chacie drwala! Do miasteczka! Do moich staruszków! O Boże! tego nie mogłabym znieść, na to burzyła się i stawiała dęba moja najskrytsza, najtajniejsza, moja dawna ambicja, którą zaprasowano w gładkie plisy tu, w mieście. Ale tam, w Białowieży, gdzie byłam i najmądrzejsza i najśliczniejsza w oczach otoczenia: tam znowu zaczynałam czuć uczuciami dawnej, czupurnej, buntowniczej Haneczki! Cóż im powiem, jak powiem? Że mąż ożenił się ze mną dla posagu i teraz, zawiódłszy się, wygnał na bruk?... Że Lora, dla której nie pojechałam na pierwsze wakacje do moich najmilszych staruszków, bo się w niej zakochałam, jak pensjonarki tylko potrafią: że ta Lora sprzedała mnie za chwilę złośliwej zemsty po tem, na widok pognębienia, którego — i słusznie! słusznie! — była pewna? Że wracam spowiewiana, uboga, upokorzona i wykopnięta za drzwi ze świata, do którego się darłam, jak mały kot do cienia na ścianie! Że jeśli nie przygarną mnie znowu, to nie będę miała gdzie skłonić głowy wraz z moim małym biedactwem, z Hanuską — już najdalej za parę lat!...

Nie! Było to wszystko zupełnie niemożliwe: tej ofiary, tej największej ofiary ze siebie zrobić jednakże nie umiałam! Czy słusznie?... Nie wiem! Myślę, że nie! Istnieje jakaś sprawiedliwość, jakgdyby automatycznie notująca sumę bólu z ofiary płynącego na podstawie istotnych, wewnętrznych uczuć, nie na podstawie faktów: mój pobyt na leśniczówce, gdybym się na niego wtedy zdecydowała, byłby — zewnętrznie — dużo miłszy, niż wszystko, co dla siebie przeciwnie zamiast niego robiłam. Ale ofiara ambicji, ta mała, w zestawieniu z ogromem całości, ułomna niejako ofiara — była dla mnie wtedy cięższa! I — nie podjęłam jej. Czy nie dlatego po dwu latach musiałam to jednak uczynić, przynosząc za karę poza tem wszystkim jeszcze i piętno hańby?... Bo jednak nie było mi oszczędzonym i to.



ZOFJA MISZEWSKA

KOBIETA SĘDZIĄ

(Wypiad z panią Wandą Grabińską)

Czy pomyślał kto kiedy nad ponurem zestawieniem słów: — sąd dla nieletnich? Czy naprawdę zgłębił całą przepaść tragedji, kryjącej się w tej zwykłej, urzędowej nomenklaturze, która już samem swem istnieniem wskazuje na najsmutniejsze winy, — na winy dzieci, której jednak, niestety, nie można zaliczyć do naiwnej kategorii, nazywanej poufale grzechami dzieciństwa?

Niestety, tego rodzaju sprawy, aczkolwiek kręca się ciągle wokoło nas i ocierają się nieomal o naszą codzienność, nie wnikają jednak głębiej w umysły i serca: trzeba dopiero jakiegoś pchnięcia od zewnątrz, aby zmusić nas do spojrzenia im prosto w oczy z zainteresowaniem i zrozumieniem. Takim pchnięciem od zewnątrz, które zwróciło, a przynajmniej powinno zwrócić, uwagę społeczeństwa na sprawę młodocianych przestępców, stał się fakt powołania pani Wandy Grabińskiej do pełnienia obowiązków na stanowisku sędziego dla nieletnich w Warszawie.

Fakt ten można postawić wyżej, niż indywidualne wyróżnienie kobiecych zdolności, tembardziej, że i sama osoba pani Grabińskiej dąży dalej, niż przeciętna kobiecość, dążąca jedynie do samodzielności życiowej.

Pani Grabińska przedewszystkiem nie stoi na martwym punkcie spoczynku, który już dopiął swego celu. Stanowisko sędziego, które, jako kobieta, pierwsza osiągnęła w Polsce, a bodaj 3-cia czy 4-ta w Europie — nie wydaje się jej laurem, wieńczącym skronie po udatnym finishu w wyścigu pracy: nominacja ta, która dla wielu kobiet, nie znających tajemnic kuluarów sprawiedliwości, była tylko nieoczekiwaną radością — dla pani Grabińskiej, stała się właśnie oczekiwanym etapem w szeregu środków, dążących do jednego Celu: walki z przestępczością wśród nieletnich, szczególnie dziewcząt, ze względu na zasadnicze braki, jakie się wylaniają w tej właśnie dziedzinie.

Jeszcze na uniwersytecie punkt ciężkości swych zainteresowań prawniczych, przerzuciła pani Grabińska na prawo karne; następnie, już jako aplikantka, szeroko rozwinęła swą działalność na tem polu, współpracując jednocześnie z Patronatem Tow. Opieki nad więźniami. Wówczas właśnie zwróciła baczną uwagę na przestępstwa wśród nieletnich i, znalazłszy w ten sposób wytyczną linię dla swej pracy społecznej i zawodowej, poczęła świadomie dążyć do obranego celu.

Tem się właśnie tłumaczy jej powstrzymanie się od kariery adwokackiej, do której posiada wszelkie warunki, i cierpliwe oczekiwanie na nominację, któ-



P. Wanda Grabińska

ra przecież ani na chwilę nie była pewnikiem.

Obecnie pani Grabińska, częściowo przynajmniej, dopięła swego celu: jako pierwsza kobieta na stanowisku sędziego, jest poniekąd tym świecznikiem, na który zwróciły się oczy wszystkich kobiet wogóle, a prawniczek w szczególności.

W jej rękach leży możność pociągnięcia, ku wydajnej, nie opartej tylko na paragrafach obowiązków, pracy tego szeregu kobiet prawniczek, które kołują między domem, a urzędem, bez możliwości uświadomienia sobie tych innych, szerszych zadań i obowiązków.

Pani Grabińska doskonale zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka spada na jej barki; zapytana przezemnie, jak rozumie rolę kobiety - sędziego w stosunku do nieletnich przestępców — odpowiedziała, że przedewszystkiem ważnym czynnikiem jest bezpośredni i intuicyjny kontakt kobiety z dzieckiem, oraz wypływający z psychologii kobiety sposób wyrokowania: polega on na dokładnej, bo z uczuciowości kobiety płynącej, analizie przyczyny przestępstw — a więc pewnej indywidualizacji tego wyroku w ramach litery prawa.

Również mocą swego stanowiska i tytułu (bo jednak ludzie są wrażliwi na hierarchję urzędniczą), może wywierać duży wpływ pośredni na społeczeństwo, to znaczy, popierać i pobudzać jego energję w kierunku *aktywnego* zainteresowania się przestępczością u dzieci.

Główną troską pani Grabińskiej jest brak w Polsce państwowego zakładu wychowawczo - poprawczego dla dziewcząt, oraz tak zw. izby zatrzymań: schroniska, w którym dzieci, zamiast w więzieniu, powinny przebywać od chwili ujawnienia winy aż do rozprawy sądowej. Pani Grabińska uważa, że więzienie dla dzieci nie powinno istnieć, tylko wyżej wspomniane schronisko i następnie dom wychowawczo - poprawczy.

Opiekuni sądowi — to druga bolączka pani Grabińskiej: jest ich za mało i za mało interesują się swymi „szkrabami“. To też często dziecko, któremu zawieszono karę, w nadziei, że się pod wpływem opiekuna poprawi, w braku tej właśnie dostatecznej opieki, opuszczone i zaniedbane, stacza się coraz niżej, a popełniwszy po raz wtóry przestępstwo, musi iść do zakładu wychowawczo - poprawczego, którego przy starannej opiece otwartej mogłoby uniknąć. A przecież opiekunem sądowym może zostać każdy, mający dobre chęci i jaką taką znajomość duszy dziecka. Jest to szczególnie piękna rola dla kobiet, których czynna współpraca usunęłaby najważniejszy powód zaniedbywania obowiązków przez opiekunów: nadmiar pupilów.

Punkt ciężkości w sprawie zainteresowania społeczeństwa swą akcją ratowniczą przerzuciła pani Grabińska na młodzież akademicką. Z ramienia Polskiej Macierzy Szkolnej ma prowadzić od 15 kwietnia specjalne seminarjum w celu poinformowania ogółu młodzieży o sprawie przestępczości wśród dzieci i wzbudzenia większego zainteresowania tą sprawą.

Na moją uwagę, że jednak te wszystkie projekty nie wykreślają granic jej działalności, jako kobiety na stanowisku sędziego, ale dotyczą jedynie działalności wysoko uspołecznionej jednostki, — pani Grabińska odparła:

— Nie jestem feministką i nie uznaję specjalnych różnic w pracy męskiej i kobiecej. Wszystko zależy od jednostki i od jej indywidualnego stosunku do danego terenu pracy. Moja praca ma podkład ideowy, ale przypuszczam, że i mężczyzna potrafiłby w nią włożyć taką samą ilość zapału.

Pani Grabińska wkłada tego zapału w każdym razie niesłychanie dużo. Należy więc jej życzyć, by ten kapitał jaknajlepiej procentował i cieszyć się, że rola pierwszej kobiety - sędziego jej właśnie przypadła w udziale.

HAN. SKAR.

KORESPONDENCJA Z ANGLJI

Anglja przed wyborami. Przedsmak lata w Londynie. Spór na temat rozwodów.

Ostra, trwająca z uporem, zima tegoroczna nie ostudziła rozpalającej się z dniem każdym na wyspie Albjonu gorączki przedwyborczej, o której już dziś rozpisują się szczegółowo wszystkie gazety na całym globie.

Wybory, zapowiedziane na maj; lub czerwiec r. b., stanowią coś w rodzaju „rewolucji“ wyborczej w państwie brytyjskiem, zarówno pod względem politycznym, jak i technicznym.

Występujące do walki partyjnej, trzy stronnictwa angielskie (partja konserwat., liberalów i Labour-party) wystawiły dotychczas razem 1,500 kandydatów na posłów do parlamentu.

Oczekiwane są wielkie niespodzianki, a to dzięki temu, że po ostatnim akcie nadania równouprawnienia córom Albjonu, na skutek zeszłorocznej uchwały parlamentu (Franchiss-Bill, 29 marca 1928 r.) — przeszło 5.000.000 angielskich w wieku 21 lat stanie po raz pierwszy do urn wyborczych. Przygotowane w myśl tej uchwały listy nowouprawnionych wyborczyń przyniosły sensacyjne wprost wyniki.

Spisy te potwierdziły przewagę liczebną kobiet

nad mężczyznami w Anglji wogóle, wykazały też niezbitą w niektórych miejscowościach, że stosunek liczebny kobiet do mężczyzn równa się 2 : 1, a nawet 3 : 1. W takich warunkach jasne się staje, że wybory nadchodzące odbędą się po raz pierwszy w historii Anglji pod przewagą kobiet!

I aczkolwiek młodociane „flaperki“ nie posiadają jeszcze należytego uświadczenia politycznego i nawet nie wykazują wielkiego zainteresowania (sport pochłania je całkowicie), należy się jednak spodziewać, że liczba posłanek w Izbie Gmin niezawodnie wzrośnie w tym roku i będzie się zwiększała stopniowo przy każdych następnych wyborach.

Tymczasem trzy partje polityczne angielskie ubiegają się ze wszystkich sił o przeciągnięcie na swą stronę większości głosów kobiecych.

Za jakim obozem politycznym wypowiedzą się ostatecznie obywatelki angielskie — pozostanie to chyba tajemnicą do ostatniej chwili.

Co się tyczy samej techniki przeprowadzenia wyborów, oczekiwane są rozmaite inowacje. Niepoślednią rolę odegrają, oczywiście, aparaty radjowe,

którymi posługiwać się będą wszyscy leaderzy przy wygłaszaniu żarliwych mów politycznych. Przygotowane są wspaniałe „fonofilmy“, czyli filmy mówiące, podczas których popisywać się mają tacy przewodnicy, jak panowie Lloyd George, premier Baldwin i najwybitniejsze posłanki do parlamentu. Pozatem każdy z głosujących otrzymać ma osobiste eleganckie zaproszenie wraz z „drobnym“ upominkiem, ozdobionym fotografią przewodcy partyjnego i t. d., i t. d.

Londyn i wszystkie większe miasta w państwie brytyjskiem jarzyć się będą od reklam świetlnych, iluminacyj i ognii sztucznych. Nie zostanie pominięta żadna okazja, aby olśnić, oszołomić, przeciągnąć na swoją stronę.

Anielki, posiadające własne auta, przystrajają je w emblematy swej partji, ćwiczą się w krasomównstwie i szykują do walki na śmierć i życie.

Za miesiąc zapanuje na wyspie chaos wzajemnie zwalczających się haseł, ogłoszeń, reklam przy istniej orgji światła. Szał gorączki przedwyborczej rozpali się w miarę zbliżającego się lata...

Już od paru tygodni fala gorąca, równie nieoczekiwana, jak fala zimna — zalała Anglję.

Zmiana temperatury nastąpiła tak niespodzianie i wywołała taką radość wśród ludności angielskiej, że w wielu miejscowościach, na wsi, ludzie obiadują na świeżem powietrzu. Mieszkańcy Londynu przeżywają istny przedsmak lata. Po mieście kursują tramwaje i autobusy z pospuszczanemi szybami. Tarasy kawiarni, będących tak bardzo dokładnym termometrem, przepełnione są publicznością, która, siedząc przy stolikach, rozkoszuje się ciepłem słońca.

W Hyde parku po całych dniach odbywają się kawalkady pięknych amazonek. Angielki, odrzuciwszy precz skórę zimową, lansują najszykowniejsze modele kreacyj wiosennych.

* * *

W salonach high-life'u londyńskiego rozgorzał spór na temat... rozwodów. Sprawę tę, będącą również przedmiotem ostrej polemiki w prasie, rozpoczęła płomienna mowa biskupa djecezji St. Albans, dr. B. Fursa, który oświadczył, że od dziś pasterze w jego parafji otrzymali surowy zakaz łączenia w kościołach ewangelickich ślubem tych par, które, z tych lub innych powodów, zerwały poprzednie węzły małżeńskie.

— „Nie chcę być uczestnikiem tej bluźnierczej farsy, odbywającej się w Domu Bożym...“ — kończy swą mowę dr. Furs — „idźcie do registratora cywilnego — that is the honest thing to do — tak właśnie wydaje mi się szlachetniej!“

Podobne postawienie kwestji, jak również powyższy zakaz, wzbudził uzasadnione protesty we wszystkich warstwach społeczeństwa angielskiego, najgorętsze zaś w sferach najwyższych. Coprawda przyczyny, dla których anielki żądają niejednokrot-

nie rozwodów, wydają się nam, na nasze stosunki, wprost nedorzeczne.

Oto np. w jednym z sądów londyńskich toczyła się ostatnio głośna sprawa rozwodowa z powodu „skapstwa“ małżonka, który uważał, że wydatek stu funtów sterl. (około 4.350 złotych) rocznie na ubranie żony — jest zbyt wygórowany. Popularny dziennik londyński „Daily Mirror“ skorzystał wnet z okazji i ogłosił dla czytelniczek swych ankietę, z której dowiadujemy się, że anielka, przeciętnie zamożna, uważa tę sumę za skromną.

Okazuje się, że każda anielka, mieszkająca przy mężu (oficer, profesor, starszy urzędnik), pragnąca być jako tako „przyzwoicie“ ubrana, powinna mieć rocznie 200 f. sterl., czyli 9.000 złotych! Lady ta potrzebuje w ciągu roku na obuwiu i 36 par (conajmniej) pończoch (jedwabnych) 15 funtów; na skromną dzisiejszą bieliznę — drugie tyle.

Na sześć sukien wieczorowych oraz dwie poobiednie — 50 funt. (2.000 złotych); na płaszcz wieczorowy — 10 funt., płaszcz nieprzemakalny — 5 f.; na odpowiednie do sukien kapelusze, torebki, parasolki, drobiazgi — 10 f.; na dżumpry i kostjумы wełniane — 15 f.; na płaszcz jesienny — 20 f.; na ubranie i obuwiu sportowe — 40 f.; na fryzjera i kosmetykę — 20 f.! — co razem wynosi 20 funtów rocznie.

A przecież nie wliczone są futra, biżuterja, perfumy... Małżonek zatem, którego żona potrafi wydać na siebie w przeciągu roku tylko... 100 funtów, powinien Niebu dziękować za wygrany wielki los na loterii życia; przeciwnie zaś, ten, który skromną sumę 100 funtów uważa za wygórowaną, jest wstrętnym skąpcem, z którym pożycie staje się wprost niemożliwe...

Z ŻYCIA EKRANU

Wschód i Zachód

Film taki, o którym mówi „cała Warszawa“, film rewelacyjny, na który w tym sezonie już się nie liczyło, pojawił się dość niespodziewanie, niepoprzedzony prawie żadną reklamą. I, co dziwniejsze, nie przyszedł ani z Ameryki, ani z Elstree*), ani z Niemiec, lecz — z sowieckiej Rosji.

O tem, że Sowiety specjalną pieczę otaczają kinematografię, że ją nawet z miłością „hodują“, jako najskuteczniejszy środek propagandy, słyszeliśmy nieraz. Wiedziało się też, że polityka ta wydaje nietylko owoce („kształci“ widza według ułożonego zgóry pro-

*) Miejscowość angielska, w której powstały olbrzymie ateliery wytwórni „British International Pictures“, rozporządzającej ogromnemi kapitałami i mającej na celu postawienie produkcji europejskiej na takim poziomie, ażeby mogła konkurować z amerykańską.



Postać mongola z filmu „Burza nad Azją“

gramu), ale także i — kwiaty, a więc coś, co leży poza doraźnym pożytkiem — kwiaty czystego artysty.

Obrazy sowieckie, które mieliśmy możność widzieć w Warszawie, wskazywały na to, że filmiarze rosyjscy nie poprzestają na przyswajaniu sobie kinowej wiedzy Zachodu, lecz wykazują sami dużo inwencji, tworzą jakieś nowe formy, i tylko zbyt dbałość o tendencję ideową tych filmów przytłacza ich walory artystyczne. (Filmu Eisensteina „Pancernik Potiemkin“, będącego, podobno, genialnym połączeniem tendencji z artystem, niestety, nie widziałam).

„Burza nad Azją“ (realizacja Pudowkina) jest pierwszym wyświetlanym u nas filmem sowieckim, który, choć nie wolny od tendencji, nie mogącej być miłą dla Europejczyka — zniewala siłą swego artystycznego wyrazu. Film ten działa, jak żywioł. Najbardziej nastrojony widz zostaje jakgdyby jakąś przemożną siłą wyrwany ze stanowiska obserwatora i wciągnięty w orbitę zjawisk, zachodzących w jakimś obcym dlań świecie, którym Pudowkin każe mu się zainteresować! Więcej nawet — reżyser osiąga to, że widz niejako czuje się odpowiedzialnym i współwinnym za wszystko to, o co oskarżeni są tam, na ekranie, jego biali bracia. A oskarżoną jest cała rasa zawodowych „nosicieli kultury“, zawsze dotychczas w filmach apoteozowana, rasa, która przypisuje sobie posiadanie najwyższych cnót, wynoszących ją ponad resztę ludzkości.

Jakże inaczej wyglądają ci rycerze bez skazy, głosiciele prawdziwej wiary, miłości bliźniego, męstwa i wysokiej moralności — oglądani pod innym kątem, od strony „dzikiego“ ludu, który raczą łaskawie obdarzać swą opieką! Chciwość, obłuda, okrucieństwo —

oto atuty politycznej gry, zwanej protektorem. Nie dziwimy się, że ten poniewierany, wyzyskiwany mongol staje się czasami mścicielem całej swej rasy, urasta do symbolu „budzącej się Azji“, która, jak niczem niepowstrzymana lawina, runąć ma kiedyś na Europę i zmieść jej kulturę z równą łatwością, jak karabiny, czapki i fajki jej obrońców zmiata jeden podmuch symbolicznej burzy.

Cała ta koncepcja przeprowadzona jest nad wyraz konsekwentnie i — co najważniejsze — środkami nawskroś artystycznymi i kinowymi (odpowiedni montaż całkowicie zastępuje napisy, zaś te, które są, nie mają nic z „literatury“). Środki te wydają się nawet do tego stopnia proste, że zapomina się tu wogóle o tem, iż takie czy inne wrażenia widza są rezultatem jakiegoś *kunsztu*. Nie pamięta się o żadnej technice, o fotografii, a już najmniej — o grze; patrzy się na *życie*. Ekran przestaje być ograniczoną przestrzenią. Zdaje się, że wyrasta ze wszystkich stron, że widz sam znajduje się w ośrodku akcji, że nie *przed* nim, lecz *wokół* niego rozciąga się bezkresny step i że w którąkolwiek stronę spojrzy — oko natknie się na linię horyzontu. Na jarmarku naprz. widz odnosi wrażenie, że sam znajduje się w tłumie, przez który musi się przeciskać. Są to efekty, będące specjalnością rosyjskiej szkoły operatorów, których „wynalazkiem“ są również zdjęcia t. zw. kątowe. Podkreślają one jakąś ważną dla danego momentu część obrazu, wypełniając ją całkowicie pole widzenia.

W filmie tym rewelacją jest właściwie nie forma, którą widywaliśmy już w innych filmach rosyjskich i amerykańskich, lecz — jej mistrzowskie zastosowanie. Rewelacją jest egzotyczny krajobraz i cały ten nowy, niewidywany nigdy na ekranie, świat (niektóre sceny mają znaczenie krajoznawcze) — użycie autentycznych mieszkańców stepów Mongolji, jako statystów, wreszcie — sam temat i jego ujęcie. Jest to bodaj pierwszy film, w którym miłość nie gra absolutnie *żadnej* roli, nie tylko epizodycznej, i w którym kobieta nie jest samodzielnym składnikiem akcji, lecz raczej dodatkiem, akcentem, mającym podkreślić jakieś zjawisko.

Pomimo to, że „Burza nad Azją“ w żadnym razie nie można razwać filmem, w którym tendencja góruje nad artystem, jednakże jest tam jedna scena, zdradzająca wyraźnie pochodzenie obrazu: przykrość, jaką odczuwa żołnierz angielski, będąc zmuszonym poprowadzić mongola na śmierć. Wśród tylu przedstawicieli białej rasy i... kapitalistycznego ustroju, jedynym człowiekiem, w którym pokutują jeszcze odruchy człowieczeństwa, jest — proletariusz.

Jakgdyby dla dopełnienia, prawie jednocześnie z „Burzą nad Azją“ mieliśmy możność widzieć inny obraz — produkcji niemiecko-francuskiej — poświęcony sprawie, która jest dziś najpotężniejszym regulatorem życia państw i narodów, sprawie Pieniądza („Pieniądz“ — realizacja M. L'Harbier). Jest to, rze-



Scena z filmu „Pieniądz”

komo, przeróbka powieści Zoli, ale tak dowolna, że właściwie nie warto o tem wspominać. Ale i tu, jak tam, treść stanowią walki, upadki i zwycięstwa czcieli, sług i władców Pieniądza. Tutaj — w przeciwieństwie do „Burzy nad Azją” — kobieta gra rolę dominującą, choć niezawsze widoczną. Ona jest świadomym lub nieświadomym motorem akcji, ona pracuje dla Pieniądza, albo — Pieniądz dla niej; ona jest jedną z głównych szprych wiecznie toczącego się koła Fortuny. M. L'Harbier kładzie główny nacisk na konstruktywizm poszczególnych obrazów, które stara się ujmować w formy geometryczne. Wnętrze i aktor — to tylko części składowe architektоники poszczególnych scen. Daje to efekty niezwykle interesujące, ale nie porywa. W Pudowkinie czujemy jakąś siłę, szukającą wyzwolenia; w Marcelim L'Harbier — widzimy kunszt, pracę mózgu o wysokiej, wyrafinowanej kulturze.

Zdawałoby się, że zagadnienia, poruszane w obu filmach, są tak odmienne, że nigdzie nie znajdą linii przecięcia. A jednak trudno oprzeć się myśli, że kiedy ci dzisiejsi parjesi, potomkowie Czengis-Chana, kiedyś, po latach, przekształcą się w wytwornych gentlemanów i będą zamieszkiwać, zamiast nędznych jurt — bogate, piękne miasta — to wraz z cnotami kultury przylgną do nich także jej grzechy. Na szczy-

cie wszelkich ludzkich pożądań znajduje się zawsze Pieniądz i Władza. I wtedy znów może oni z kolei będą wysyłali „wojska ochronne” — tym razem żółte — do jakiegoś dalekiego kraju, gdzie będzie można gnębić „dziki” naród, który się jeszcze „nie zbudził”.

Stef. H.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Samuel Zborowski”, dramat Ferdynanda Goetla. Reżyserja Leona Schillera. dekoracje i kostjomy Karola Frycza.

W samym afiszu tkwiła mistyfikacja. Na scenie nie było dramatu, w dramacie nie było Goetla. Wprawdzie autor, kilkakrotnie wywoływany, stawał między Samuelem i Gryzeldą, ale duchowego podobieństwa między autorem a postaciami scenicznymi nie można się było dopatrzeć. Gdzieś zapodziała się autentyczność jego wyobraźni. W tej runi dramatycznej, rosnącej bujnie, dziko i bezładnie, jak na stepie, napróżno szukaliśmy linii prawidłowego siewu.

W dotychczasowym dorobku pisarskim Goetla — czy to był Kar-Chat, czy „Z dnia na dzień” — całość utworu mocno i ściśle obrastała pień tematu. W „Samuelu Zborowskim” pionu niema. Autor stracił grunt pod nogami. Poszczególne obrazy nie są postawione; leżą na jednej płaszczyźnie bez pogłębienia perspektywistycznego. Są związane luźno następstwem logicznym, ale nie wewnętrzną koniecznością wzrostu napiętności.

Goetel wymusił na sobie utwór, rozbieżny z przyrodzonymi drogami jego indywidualności twórczej, utwór, który jest grzechem przeciwko naturze jego talentu. I dlatego zdradziła go najwierniejsza kochanka poety: prostota. W języku zapanała pompatozna napuszoność i nienaturalny patos, w stylu chwiejność i niezdecydowanie w ogólnym ujęciu konwencjonalnie operowa teatralizacja faktu.

Reżyser miał tu wdzięczne pole do rozwinięcia pomysłów, wysuwających na pierwszy plan sceniczne walory utworu. A jest w nim kilka momentów szczęśliwych z punktu widzenia efektu nastrojowego, czy poprostu malarskiego, doskonale podkreślonych przez dekoratora. Czem naprawdę stałaby się niska scena spisku, gdyby nie wspaniała karczmna Frycza, w której zdaje się mieszkać sam czart podstępny i zdrady?

Melodramatyczny pomysł wróżby cygańskiej o szablę, ma posmak rycerskiej legendy, a niewidzialny pochod Samuelu przez puszcę z teobanami i pieśnią kozaczą technicznie jakimś „duchem od stepu”, ale to są wsz;tko poetyczne ornamenty i podpórki, które nie zastąpią mocnej, jednolitej budowy. W zamęcie kostjumów, intryg i awantur zaciera się i tak mętna sylwetka Samuelu.

Ten nieokreślony watażka o duszy Kmicicowej przedzierzga się raptem w scenie więziennej w zapamiętalego satanistę. Skąd? poco? dlaczego? Ten wybuch jest zupełnie nieumotywowany psychologicznie. Z obłoków patosu spadamy nagle na padół śmieśności. Ogarnia nas jakaś nieprzyjemna wesołość. Bo pomyślcie tylko: Jerzy Leszczyński, to uosobienie radosnego temperamentu, na klęczkach deklamujący modlitwę do króla ciemności. Poco, na miły Bóg, ta niewczesna przybyszewszczyzna?

I to u Goetla, którego nikt nigdy nie podejrzewał o snobizm, któremu tak mało potrzeba, żeby najprostszy środkami wywołać pożądany efekt. I że tak jest istotnie, mamy na to dowód zaraz w pierwszej odsłonie, kiedy to na scenie pojawia się Henryk Walezy i wypowiada kilka banalnych zdań. Ale w tych kilku zdaniach jest cały człowiek, jego stosunek do ży-

cia i do Polski, jego oblicze historyczne i jego poniekąd prywatna dusza. Gdyby Samuel rzucony był z tym samym rozmachem w tło dziejowe, możeby zakrzepł w nim w postaci nieśmiertelna, żywa, skończona. A jest tylko cieniem na fali...

Kulminacyjnym punktem zainteresowania widowni był moment, kiedy na salę sejmową wkracza Junosza - Stępowski w roli Batorego. Znakomity artysta dał nam nowe arcydzieło charakterystyki w masce, w postaci, w każdym ruchu. Jego kamienny spokój podczas burzliwej sceny sejmowej był wymowniejszy od słów, jakie mu w usta włożył autor.

Zresztą obsada ról i gra poszczególnych aktorów stanowiła zdumiewającą mozaikę stylów. Jeden zarywał z Szekspira, drugi ze Słowackiego, trzeci poprostu z własnej, a nieprzymuszonej woli. Ale trudno się temu dziwić. Ludzi ogarnęła zupełna dezorientacja wobec tej klęski żywiołowej, którą jest powódź dramatów o Zborowskim. Litości, panowie autorzy i dyrektorzy teatrów! Dajcie nam odetchnąć! Przestańcie ćwiartować nieszczęsnego Samuela po śmierci. Mało brakuje, żebyśmy ujrzeli na scenie Teatru Wielkiego operę Joteyki p. t. „Gryzel-da“, a w teatrze Nowym dramat psychologiczny p. t. „Samuel i jego kat“. Publiczność może to wytrzymać, recenzenci napewno nie

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

DOROCZNY WALNY ZJAZD T. N. S. W.

Bardzo uroczysto odbył się doroczny walny zjazd Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych.

W wielkiej auli Uniwersytetu Warszawskiego zgromadzili się, prócz 250 delegatów Towarzystwa, liczni przedstawiciele ministerstwa oświaty z p. ministrem Świątalskim, rektorzy wyższych uczelni, władze miejskie z prezydentem Słomińskim, członkowie Tow. Naukowego i pokrewnych organizacji nauczycielskich.

Zjazd zaszczylił swą obecnością pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Walny Zjazd T. N. S. W. wywołuje zawsze wielkie zainteresowanie, łatwo zrozumiałe, ze względu na charakter instytucji i znaczenie sprawy, jednej z najważniejszych dla społeczeństwa — wychowania przyszłych obywateli — młodzieży. Że zaś T. N. S. W. w czasie swej długoletniej działalności, stawiając sprawy zawodowe nauczycielstwa niejako na drugim planie, całą uwagę poświęcało kwestjom zasadniczym pedagogiki — wykształcenia i przygotowania nauczycieli — nie dziwnego, że wyrobiło sobie wielką powagę, jako instytucja naukowa.

Tematem obrad zjazdu była sprawa szkolnictwa żeńskiego, w której wygłoszone zostały dwa referaty: „Najpilniejsze potrzeby szkolnictwa żeńskiego“ p. Zofji Iwaszkiewiczowej i „Czy i o ile wiedza nasza o różnicach psychiki mężczyzny i kobiety daje podstawy do różniczkowania szkół na męskie i żeńskie“, dr. prof. Baileya.

Oboje prelegenci poszli w swych referatach po linii współczesnej wiedzy i postępu, stwierdzając, że do szkoły średniej, ogólnie kształcącej winny uczęszczać *zdolne jednostki obu płci*, przyczem *szkołą ta musi być dla obu płci jednakowa*, oraz że istniejące dotychczas w literaturze psychopedagogicznej dane o różnicach psychicznych dziewcząt i chłopców *nie upoważniają w chwili obecnej do reformy szkoły średniej w myśl jej podziału na męską i żeńską*.

To wszystko są prawdy, o których nikt chyba nie wątpi. Samo się przez się rozumie — i kraje o najwspanialej rozwiniętem szkolnictwie dawno to uznały — że nie można wszystkich dzieci kształcić w szkole średniej i że szkoły *zawodowe* żeńskie muszą uwzględniać odrębne typy zajęć, ale co to ma do podziału szkoły średniej na męską i żeńską?

Dlaczego zaszła potrzeba postawienia sprawy tego podziału pod obrady zjazdu?

Towarzystwa i zjazdu obradują nieraz nad różnemi zagadnieniami czysto akademickimi, ale... wiemy o tem dobrze, że nie było tego rodzaju wypadku — to nie była akademicka dyskusja.

Od szeregu miesięcy prasa zwracała uwagę na to, że pewna część nauczycielstwa kwestionuje celowość równouprawnienia w szkole średniej i agituje za zmianą szkoły na „żeńską“, o innym zupełnie programie! W sprawie tej wszystkie pisma, bez różnicy odcieni polityczno-społecznych, zajęły jednakowe stanowisko, uznając tego rodzaju zamierzenia za niedopuszczalne.

I trudno się dziwić.

W pół wieku po uznaniu w Europie zasady dopuszczenia kobiet do uniwersytetów, a więc, eo ipso, potrzeby *tejsamej* szkoły średniej dla obu płci, w dziesięć lat po tem, gdy pierwszym niemal czynem powstającej polskiej władzy szkolnej było zrównanie tej szkoły — istnieją nauczyciele, członkowie poważnych instytucji, którzy uważają za potrzebne poddać rewizji prawo równej wiedzy dla dziewcząt!

Doprawdy, rzecz zdumiewająca.

I doprawdy, rzecz tem smutniejsza, że w liczbie tych właśnie pedagogów są kobiety i to takie, które same zdobyły uniwersyteckie wykształcenie.

I jeszcze gorzej, że głosy te przedostają się do sfer i pism pedagogicznych zagranicą, wywołując tam wrażenie, iż w Polsce istnieją tendencje cofnięcia równouprawnienia w szkolnictwie!

Jakimi względami kierują się ci pedagodzy, którzy wysuwają projekt stworzenia szkoły średniej *dla ogółu dziewcząt*, zamiast opracować projekt szkół zawodowych różnych typów, *dla młodzieży obu płci*, niezdolnej do wyższych studiów?

Dlaczego uważają, że obowiązkiem szkoły średniej jest przygotowanie dziewcząt do obowiązków żon i matek, a nie stawiają tych samych wymagań, aby szkoła przygotowała z chłopców dobrych mężów i ojców?

Jest to jakaś niezrozumiała mieszanina pojęć.

Przygotowanie kobiety do macierzyństwa nie może być zadaniem szkoły średniej, tak samo jak nie może być niemi nauka kucharstwa, szycia, pielęgniarstwa i t. p. Jest to sprawa specjalnych, poważnych kursów szkolenia matek, higieny, organizacji gospodarstwa domowego. Szkoła średnia nie ma z tem nic wspólnego. Nie można w jednej uczelni uczyć wszystkiego, bo rezultatem będzie nienauczenie niczego. I te elementarne prawdy trzeba było tłumaczyć aż na zjeździe elity nauczycielstwa!

Doprawdy, jedynem chyba wyjaśnieniem tej sprawy jest piękna mowa p. ministra Świątalskiego, który, skreśliwszy głęboką i trafną przyczynę dzisiejszych, tak wielokrotnych rozbieżności i powstałych wśród nauczycielstwa hyperkrytycyzmów, stwierdził, że „gdyśmy zaczęli tworzyć własny typ szkoły, to wtedy staraliśmy się ze wszystkich innych typów szkół *wszystko*, co dobre, skumulować i wnieść do naszej szkoły i w ten sposób, według mego przekonania, powstało... *za dużo dobrego*“...

Tą chyba troską o zawile dobrego tłumaczyć można dziwaczny nawrót pewnej części nauczycielstwa do średniowiecznych tez o wykształceniu kobiet, akcję, podjętą wbrew opinii wszystkich stowarzyszeń kobiecych, prasy i czynników miarodajnych.

Cale szczęście, że akcja ta upadła na terenie T. N. S. W.,

które wypowiedziało się przeciwko niej i którego powaga będzie chyba decydująca. Należy tylko życzyć, aby prąd ten zniknął jaknajprędzej, ustępując miejsca właściwej ilości dobrego w naszej szkole średniej.

N. J.

Ś. P. DR. MED. ALEKSANDRA DANEJKO CZŁ. WYDZIAŁU SANITARNEGO „RODZINY WOJSKOWEJ“

Dnia 14 marca 1929 r. zasnęła wiecznym snem zasłużona pracownica społeczna, dr. med. Aleksandra Danejko.

Obdarzona umysłem śmiałym, rzutkością, wytrwałością i wielkimi zdolnościami, wcześniej znalazła się w szeregu kobiet, walczących o równouprawnienie.

Przewycięzając trudności, wynikające z niejednakowego programu szkół męskich i żeńskich, złożyła potrzebne egzaminy dopełniające i zdobyła prawo do wyższych studiów, jakie odbywała kolejno w Petersburgu, Dreźnie i w Paryżu (Sorbona).

Po powrocie do kraju, przerzuciła się do fachu praktycznego, ukończyła studia dentystyczne i rozpoczęła pracę jako lekarz - dentysta, zdobywając sobie swą sumienną i bezinteresowną pracą szerokią klientelę.

Niezwykle miękko odnosiła się do cierpiących dzieci, to też reszcie dziecięce zapelniały poczekalnie jej gabinetu lekarskiego. Z każdym z małych pacjentów umiała zawiązać koleżeński niemal kontakt. Z pomocy jej, zupełnie bezpłatnej, korzystały dzieci z przedszkoli warszawskich „Rodziny Wojskowej”. Niestety, ciężka choroba serca zmusiła dr. Danejko do wycofania się z pracy na dłuższy czas przed śmiercią.

Do końca życia pozostała członkiem Wydziału Sanitarnego „Rodziny Wojskowej”, interesując się szczerze rozwojem prac Stowarzyszenia w dziedzinie zdrowia.

Marzeniem jej było ufundowanie Sanatorium dla dzieci, zagrożonych gruźlicą, i niedopuszczenie do rozwoju choroby. Chcąc stanąć na czele tego Sanatorium, ukończyła Wydział lekarski U. W., pogłębiając jednocześnie swą specjalność leczenia chorób zębów i jamy ustnej.

W stosunkach koleżeńskich była nieoceniona, zwłaszcza troszczyła się o losy akademikzek. Starsza od swego koleżeńskiego grona, niezależna materialnie, zgromadzała koło siebie ideową młodzież ze wszystkich wydziałów. W przemówieniu nad grobem ks. Jarosza, który jednocześnie z p. Danejko był w U. W., podkreślił serdeczne współzycie „Cioci Oli” z kolegami. Organizowała samopomoc koleżeńską. Była inicjatorką i założycielką Spółdzielni „Dom akademikzek”, a od 1916 do 21 r. członkiem Zarządu tejże Spółdzielni oraz członkiem - założycielem Bratniej pomocy studentów U. W. i koła medyków.

Dzięki jej zabiegom, w czerwcu 1921 r. przy pomocy „Auxilium academicum”, której to instytucji była członkiem-założycielem, została otwarta Spółdzielcza Kuchnia studencka przy ul. Marszałkowskiej Nr. 97. W mieszkaniu swym, przy ul. Brackiej Nr. 13, część lokalu oddała na pomieszczenie Klubu akademikzek, pracującego w czasie wyborów do I sejmu. Była członkiem Klubu politycznego kobiet postępowych, jako łącznik z żeńską młodzieżą akademicką, oraz w tym charakterze należała do Centralnego Komitetu organizacyj kobiecych, domagających się od suwerennego Sejmu Ustawodawczego równouprawnienia kobiet.

Przy rozbrajaniu Niemców zorganizowała akademicką żeńską sekcję rekwirowania niemieckich „Damenheimów” oraz dopomagała, zwłaszcza wojskowym, do zorganizowania pomocniczych sił sanitarnych na czołówki i pociągów sanitarnych z pośród żeńskiej młodzieży akademickiej. W 1920 r. jednocześnie pracowała w Sekcji Kurjerskiej Naczelnego Dowództwa.

Jak większość ludzi ofiarnego czynu, spełnionego w imię narodowego obowiązku bez osobistych korzyści, nie została odznaczona żadnym orderem państwowym. W 1925 r. przyznano jej Krzyż legjonowy, a za pracę w 1920 r. — odznakę ofiarnych Obywatelskiego Komitetu Obrony państwa.

Życie, spędzone w służbie zawodowej i społecznej w wal-

kach o niepodległość, wyczerpało organizm. Dr. Danejko od kilku lat zmagając się z chorobą, nie przerywając swych prac. Padła na posterunku w sile wieku, osierocając, prócz rodziny, szeregi kolegów i współtowarzyszów pracy.

Odeszła od nas jednostka pożyteczna. Cześć jej pamięci! Niniejsze skreśliłam, jako przyczynek do historii prac kobiecych, pragnąc, aby zostało rozszerzone przez inne osoby, które miały możliwość współpracować z p. Aleksandrą Danejko.

Regina Zienkiewiczowa.

NOWE KURSY GOSPODARSTWA KOBIECEGO

Od 1 czerwca do 1 października r. b. odbywać się będzie na Pomorzu w jednej ze szkół rolniczych kurs gospodarstwa kobiecego. Wykłady obejmą naukę kucharstwa, ogrodnictwa, chowu drobiu i inwentarza, oraz kroju i szycia.

Oplata za kurs 25 zł. Koszty utrzymania — 50 zł. miesięcznie.

Ponieważ liczba uczennic ograniczona została do 40-tu, należy wcześniej wnosić podania pod adresem pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu (ul. Sienkiewicza 40).

N. J.

ZWIĄZEK KOBIEC — OBRONCÓW OJCZYZNY.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie zjazd organizacyjny Związku Legionistek. Posiedzenie poprzedziło uroczyste nabożeństwo w Katedrze, odprawione przez ks. biskupa Szlagowskiego, który w r. 1919 pożegnał legionistki, wyruszające na front, jako ochotniczka Legja Kobieta. Po mszy uczestniczki zjazdu wyruszyły w pochodzie na grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożyły wieniec z szarfami o barwach narodowych.

Obrady Zjazdu otworzyła p. kap. Wysłouch - Zawadzka, poczem zabrała głos p. pplk. Aleksandra Zagórska, której inicjatywą powstała O. L. K. i która była jej komendantką.

Zdawał następnie sprawozdanie Komitet organizacyjny Związku. Oprócz spraw legalizacji statutu i zgromadzenia b. członkiń Legji, Komitet rozpoczął już prace bieżące. Do najważniejszych należały przygotowania do Wystawy poznańskiej, na której Związek zajmie miejsce w pawilonie wojska, dając b. ciekawe i cenne eksponaty pamiątkowe.

Pozatem Komitet organizacyjny rozpoczął prace na prowincji, gdzie powstały już oddziały Związku w większych miastach.

Drugi dzień obrad zjazdu wypełniły wnioski pracy na przyszłość. Związek iść będzie po linii realnej pracy twórczej, jako organizacja apolityczna, gromadząca zastępy kobiet, chętnych do służby ojczyźnie w czasie pokoju i stojących zawsze w pogotowiu na każde jej zawołanie.

Dokończono również wyborów zarządu: przewodniczącą Związku została p. pplk. Zagórska.

Wysłano następnie depesze do p. Prezydenta Rzeczypospolitej, do Marszałka Piłsudskiego, ks. biskupa Bandurskiego, p. Prezydentowej Mościckiej, p. Marszałkowej Piłsudskiej i do Marji Rodziewiczówny. Uczestniczki zjazdu uchwalily opodatkować się na rzecz funduszu dyspozycyjnego Marszałka Piłsudskiego.

Odczytano szereg depesz z życzeniami dla nowopowstającej organizacji, z których wyróżniły się podniosłe słowa ks. biskupa Bandurskiego: „Waszym obradom niech towarzyszy idea wielka, co tworzy moc i utrwała wielkość państwa. Bóg z Wami”.

N. J.



CHCĄC NABYĆ PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĐAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE, UPORCZYWIE POLECANIE, NAŚLADOWNICTWA W PODOBNYM DO NASZEGO OPAKOWANIU.

MY I DRUDZY

II.

Szczerość i odwaga cywilna.

Człowiek w ciągu swego życia utrzymuje ciągle stosunki z innymi ludźmi. Mogą one być bliższe lub dalsze, t. zw. „szerokie“, lub ograniczone do niewielkiej liczby krewnych i przyjaciół, — istnieć jednak będą dla każdego bez wyjątku.

Więcej nawet: dzisiejszy tryb życia, przeważnie pozadomowy, przeważnie, nawet dla kobiet, wymagający pracy zawodowej — rozszerza ogromnie zakres tych stosunków. Powiększa je o wzmożone życie polityczne, ruch stowarzyszeniowy, sportowy, turystyczny. Bytowanie w ciasnym zakątku własnego, domowego ogniska należy dziś dla ogółu do złotej przeszłości. Tem trudniejsze też staje się życie, tem więcej wymaga od nas, jeżeli postępowanie swe z drugimi chcemy normować nie tylko według szablonu *savoir vivre* u i recept honorowych tego lub owego... Boziewicz, lecz w myśl innych, wyższych i głębszych kryterjów.

Bezwzględnie najpierwszym i znanym dobrze wskaźnikiem musi tu być uczciwość osobista; ale jest ona tylko fundamentem, podstawą, na której oprócz musimy inne wartości.

Jedną z nich jest dobre wychowanie. Niestety, jest ono coraz rzadsze, w dawnym zwłaszcza znaczeniu tego słowa. Przeważnie zastępujemy je przepisami towarzyskimi, które mają — jak już wspomniałam na tem miejscu — duże zalety dla wielu osób, tego dobrego wychowania z jakichkolwiek przyczyn pozbawionych, ale których główną nietylko wadą, ile samą istotą — jest ich powierzchowność, przez co nie obejmują wcale treści stosunków ludzkich i stosowane bywają jakby „od święta“, w pewnych tylko okazjach, a już prawie zawsze zawodzą w chwilach głębszego konfliktu, uniesienia lub trudniejszego spłotu okoliczności.

W stosunkach naszych z ludźmi, zarówno bliskimi nam — rodziną, przyjaciółmi, — jak również we współżyciu ze wszystkimi, których na naszej drodze spotykamy, najlepszym przewodnikiem będzie nam rozumna szczerość.

Nie powinna ona, rzecz prosta, objawiać się w bezwzględnem wypowiedzianiu wszystkim każdej rzeczy, którą o kimś pomyślimy; nie może być gderliwa, wiecznie krytykująca, porywca, zbyt moralizatorska, ani tembardziej — wyzywająca. Zewnętrzne jej formy normować powinien spokój i delikatność. Niemniej jednak musi istnieć — wspierana samokrytycyzmem i obiektywizmem w stosunku do drugich, — głęboka, stała i konsekwentna.

Tylko na takiej szczerości oparte, współżycie z ludźmi stanie się racjonalne i dobre.

A tymczasem ten właśnie element szczerości jest skandalicznie wprost niedoceniany.

Utarło się nawet, o zgrozo! pojęcie, że szczerym być... nie wypada. Że jedynym sposobem zachowania dobrych stosunków z ludźmi jest komplement, ceremonjalność towarzyska, niewypowiadanie swego zdania, przemilczanie, demonstracyjne nieraz, urazy — jednym słowem zamaskowana pseudo subtelnością obłuda.

Państwo Z. nie czują żadnej specjalnej sympatii do państwa Y, ale... tak się jakoś składa, że utrzymują z nimi stosunki, choć się wzajemnie nudzą i choć to współżycie najmniejszej korzyści żadnej ze stron nie przynosi. Poprostu, nie stać ich na delikatne, lecz szczere zamanifestowanie tego.

Pan Władysław wie doskonale, że jego znajomy, pan Kazimierz, różni się z nim we wszystkim, ale „przez grzeczność“ przytakuje jego zdaniu, choć nie przeszkadza mu to wcale czuć, a nierzadko i mówić, że pan Kazimierz jest matolkiem.

Pani Zofja ma głęboką, a może i zupełnie słuszną, pretensję o coś do swej przyjaciółki, ale zamiast jej tę pretensję wyłuszczyć i wypowiedzieć otwarcie, o co chodzi, daje jej „subtelnie“ odczuć głęboką urazę — bywa u niej rzadko i „boczy się“ na nią.

Ma to wszystko wyrażać naszą delikatność i głębokość psychiczną, a jest tylko dowodem duchowej niedorodłości, czy niezaradności, lub gorzej jeszcze — grymaśnego, niepoważnego ujmowania życia.

I temi właściwościami grzeszą często ludzie skądinąd bardzo uczciwi i rozumni, ciągnąc je za sobą przez całe życie i nie rozumiejąc, jak one im to życie utrudniają.

Jest to postawienie sprawy na gruncie nie tylko niewłaściwym, ale przez nieprawdziwość swą wprost nieetycznym — gdyz postępując w ten sposób, wprowadzamy drugich w błąd, tworzymy podłoże fałszywych wyobrażeń, zagadek, uraz i pretensyj. Dajemy w dodatku sobie, i drugim okazję do nierzadko zdarzających się faktów, że tłumiona szczerość wybuchu gwałtownie w najmniej odpowiedniej chwili i formie, powodując bardzo poważne konflikty.

Nieszczerość weszła u nas nawet do stosunków pracowniczych i urzędowych — zasadą stało się np., że, usuwając pracownika, nie podaje mu się powodów jego dymisji.

Nie potrafimy zaś być szczerzy głównie przez brak... odwagi cywilnej.

Jest to bowiem prawdziwą ironją losu, że my, polacy, tak dzielni „wojskowo“, jesteśmy niesłychanie umiarkowani, ostrożni i bojaźliwi „cywilnie“.

Amerykanin, Anglik, trochę w inny sposób Francuz, jeszcze inaczej Niemiec, ale każdy z nich bez wahania wypowie swoją opinię, zachowa się tak, jak mu dyktuje jego przekonanie, nie przesadzając bynajmniej w subtelności i osłanianiu istoty rzeczy,

choć również. — jeśli jest człowiekiem kulturalnym. — potrafi uczynić to w grzecznej i kulturalnej formie.

My, niestety, niezawsze, a raczej—prawie nigdy, i dlatego mamy u wielu narodów opinię ludzi bardzo wytwornych, ale... nieszczerych.

A tymczasem w większości wypadków podstawą tego postępowania nie jest wcale jakaś obłuda, oparta na wyrachowaniu osobistym, tylko właśnie brak odwagi w szczerości. To lękamy się urazić kogoś, sprawić mu przykrość, — lękamy się zresztą egoistycznie, bo często ten ktoś nie nas nie obchodzi, ale ponieważ jesteśmy subtelni i delikatni, więc *nam* nie-miło jest powiedzieć to lub tamto; innym razem, również z tych samych względów, wolimy nie wyrażać naszego zdania o różnych drażliwych, choć ważkich i zasadniczych kwestjach; to znów, dotknięci w naszej ambicji, czy uczuciach, lękamy się przyznać do nich, sądząc, że nas to upokarza. Tak, czy tak, brak-nie nam szczerości i odwagi uświadomienia sobie i drugim, jacy jesteśmy, jak odczuwamy i czego wymagamy.

Jeżeli tym rodzajem odwagi nie grzeszą zbyt niemiłosiernie mężczyźni, to już najczęściej nie objawiają jej wcale kobiety.

Mężczyzna ma jeszcze, jako ostateczny argument, swój „kodeks honorowy”; nie pozwoli mu on w pewnych, przynajmniej najbardziej jaskrawych warunkach, pozostać biernym, nie ujawnić swej opinii, nie zareagować na czyjś niewłaściwy postępek.

Kobiety jednak, dotychczas przynajmniej, tym kodeksem nieobjęte, więcej: uznane podług niego za „nieodpowiedzialne”, — nie miały nawet tego surogatu wyćwiczenia odwagi cywilnej. To też są zwykłe albo niepoważnie gadatliwe i wylewne, wypowiadające swe zdanie na prawo i lewo, bez żadnej uwagi na jego konsekwencje, impulsywne w objawianiu swych sympatyj i antypatyj, zupełnie niewyrozumowanych, albo (te, poważniejsze) zachowują się z rezerwą, graniczącą z brakiem szczerości i odwagi w postępowaniu.

Ileż z tego wynika przykrości, zarówno drobnych szpileczek życiowych, jak bardzo poważnych konfliktów.

I rzecz dziwna — ta ceremonjalność, uprzejmość, przemilczanie, wcale nam nie przeszkadzają krytykować naszych bliźnich, słuchać nieraz różnych plotek, nawet, bądźmy szczerzy — niekiedy je powtarzać, ale wszystkie te właściwości przeszkadzają nam zawsze w ostrzeżeniu kogoś, lub w odważnym wystąpieniu w czyjejs obronie.

Nie mamy w swojej psychice tego żywego i doskonale zrównoważonego nerwu właściwego reagowania. Może to wpływ długoletniego tłumienia szczerości i swobody, wywołanego niewolą, może resztki atawizmu niezbyt głębokiej psychologii brata szlachcica, który, gdy był w dobrym humorze, na wszystko się zgadzał, każdego kochał i na wszystko pozwalał—

by potem zapłonąć gniewem, jak zapalka, i do korda się rwać — może — w każdym razie faktem jest, że mamy więcej ludzi honorowo drażliwych, niż prawdziwie odważnych, i więcej miłych i uprzejmych, niż szczerzych.

Wynika to i z tego jeszcze powodu, że mylnie zupełnie nauczyliśmy się utożsamiać szczerość z brutalnością i brakiem wszelkich względów dla czyichś uczuć i miłości własnej. Otóż wcale tak nie jest. Można i trzeba zawsze wypowiadać się i postępować w formie kulturalnej, w sposób opanowany i rozumny. Ale trzeba mieć odwagę okazania swego prawdziwego oblicza: — takim jestem, tak myślę i czuję.

Takie postępowanie zjedna nam prawdziwych i odpowiadających nam duchowo przyjaciół, rozwiąże łatwo konflikty życiowe, pozwoli nam zawsze wystąpić otwarcie w swojej lub cudzej obronie i nakaże wszystkim szacunek dla naszych przekonań. N. J.



KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W odpowiedzi na artykuł p. M. Karczewskiej z d. 9 lutego r. b.

Apel p. Karczewskiej wywołał żywe zainteresowanie w Kole Studjów Gospodarstwa Domowego. Koło jest to młoda instytucja, która dąży do zgromadzenia pań dokoła zagadnienia metod i techniki organizacji gospodarstwa domowego. Po latach przejściowych, które w nieśmiałyach zarysach szkicowały cel stowarzyszenia, skonkretyzowałyśmy się i rozwinęłyśmy swą działalność, rozszerzając znacznie zakres pracy. Na zebraniu Koła d. 8 lutego, rozpoczynającym okres pracy pod kierownictwem nowego zarządu, wygłoszone były sprawozdania poszczególnych sekcji, z których wynika, że dążą one bardzo intensywnie do unowocześnienia gospodarstwa domowego i postawienia go na racjonalnych zasadach.

Tak więc, sekcja mieszkaniowa dąży do racjonalnie planowanego budownictwa, odpowiadającego wymaganiom pracy domowej. Sekcja doświadczalna przyrządów gospodarczych ma na celu znormalizowanie tych przedmiotów i ich selekcję oraz wpływ na naszych wytwórców. Sekcja ta uzyskuje dla członkiń rabaty oraz demonstruje na zebraniach praktyczne przyrządy, ułatwiające pracę w gospodarstwie i będące niejednokrotnie pomysłem członkiń Koła. Zadaniem sekcji kulinarnej jest propagowanie racjonalnych metod odżywiania oraz nauczanie pań sztuki gotowania. Sekcja służby domowej opracowuje me-

tody, dążące do uzdrowienia stosunku pracownic i pracodawców, który powinien być oparty na ścisłej obustronnej umowie i dokładnem określeniu obowiązków oraz na rozplanowanym dniu pracy. Sekcja propagandowa przygotowuje cykle odczytów w nadziei, że żywym słowem oraz drukiem rozpowszechni zainteresowanie dla tak ważnej placówki kobiecej, jaką jest Koło. Komisja wystawowa, działająca czasowo w związku z Wystawą Poznańską, opracowuje wykresy prac Koła i eksponaty, które mają być umieszczone w pawilonie Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek oraz w pawilonie Pracy Kobiet.

Koło Studjów rozporządza b. skromnymi środkami, gdyż liczy dotąd zaledwie około stu kilkudziesięciu członkiń. Jednak wzrost zainteresowania pań sprawą naukowej organizacji gospodarstwa domowego i zrozumienie przez nie, że właściwe ustosunkowanie się kobiety do domu, którego jest kierowniczką, ma olbrzymie znaczenie dla gospodarczego rozwoju narodu, pozwalają sądzić, że kobieta pójdzie drogą zrzeszania się dla osiągnięcia siły i możliwości egzekutywy swych postulatów. Oczywiście, siła Stowarzyszenia będzie wprost proporcjonalną do dwóch, ściśle związanych ze sobą, czynników: ilości członkiń i odpowiednio dużego kapitału, powstałego z miesięcznych opłat członkowskich. Wobec ilości gospodarstw warszawskich (utrzymujących służbę domową), sięgającej paru dziesiątków tysięcy, możemy mieć nadzieję, że liczba zrzeszonych pań wkrótce również obejmie tysiące. Cele Koła są, jak to widać z krótkiego rzutu oka na działalność jego, tak bliskie i żywo obchodzące każdą kobietę, posiadającą swój dom i rodzinę, i mają niezmiernie ważny atut, są bowiem apolityczne, dają więc szansę zgodnej współpracy kobiet wszelkich sfer i przekonań. Koło Studjów jest jak gdyby komórką, która zapoczątkowała skupianie kobiet dokoła zagadnień gospodarczych. Gdy rozrośniemy się w silny organizm, wówczas, idąc po linii naszych zamierzeń, będziemy mogły zrealizować następujące zadania: stworzenie Stacji Doświadczałnej i Szkoły gospodarstwa domowego.

Stacja Doświadczałna jest istotną potrzebą ducha czasu, musimy bowiem w praktycznych naszych poczynaniach mieć oparcie o pewien naukowy autorytet, promieniujący za naszym pośrednictwem do wnętrza każdego domowego ogniska, do którego nieś będziemy rady na zwalczanie setki trudów i kłopotów, tak pospolitych, a tak możliwych do usunięcia. Nie będę chyba zbyt wielką optymistką, wyrażając nadzieję, że Stacja Doświadczałna wkrótce dźwignięta będzie w Warszawie zbiorową wolą i staraniem Koła Studjów Gospodarstwa Domowego oraz tych instytucyj, którym doniosłe to dzieło tak bardzo leży na sercu.

Halina Przesmycka.

SROGA ZIMA A ROŚLINY

Według danych Stacyj Meteorologicznych, od 120 lat bodaj nie przeżywalismy tak srogiej zimy, jak ubiegła. To też właściciele ogrodów z drżeniem, ale i z ciekawością oglądają drzewa i krzewy, żeby się przekonać, jak one zniosły te nadzwyczajne chłody. Zima ta może nas bardzo wiele nauczyć, może dostarczyć wielu cennych wskazówek, dotyczących odporności gatunków i odmian naszych drzew i krzewów na nasz klimat; może nam wiele powiedzieć o wynikach pracy nad aklimatyzacją; może dać obfity materiał do ustanowienia rejonów hodowlanych, t. j. stref, w których udają się bez zawodu poszczególne gatunki, a nawet poszczególne odmiany drzew owocowych; może dać bardzo cenny materiał do dyskusji przyszłym zjazdom owocoznawców, którzy będą układali doборы odmian dla naszego kraju. A jest to praca trudna, bo polega na obserwacjach pojedynczych właścicieli i właścicieli ogrodów. Tymczasem jest tajemnicą Poliszynela, że w Polsce obserwacje zbiorowe się nie udają, gdyż na kwestjonariusze, nie opatrzone rygiem kar administracyjnych, nie lubimy odpowiadać. Może w pewnej mierze tłumaczy nas nadmiar kwestjonariuszy, uzbrojonych w przymus, ale gdy nie było jeszcze tej obfitości wywiadów rządowych, również nie lubiliśmy się dzielić spostrzeżeniami. A praca zbiorowa na tem cierpiała. Mają inne kraje statystyki ilości drzew owocowych w stosunku do liczby mieszkańców; mają szczegółowe dane o występowaniu chorób i szkodników roślin i różne inne wykazy cyfrowe, zebrane drogą kwestjonariuszy, chętnie i sumiennie w wyznaczonych terminach wypełnianych. My tego nie mamy. Taka robota u nas się nie udaje.

Może z tegorocznym mrozem będzie lepiej?

Ale wyciągnąć korzyści z klęski mroźowej będziemy mogli tylko wtedy, jeśli każdy właściciel (ka) sadu zechce nadesłać swoje własne spostrzeżenia¹⁾, w których należy wymienić miejscowość i okręg administracyjny, glebę, i wykaz gatunków i odmian, z oznaczeniem ich odporności stopniami. Więc, przypuśćmy, że stopniem „0” oznaczmy gatunki i odmiany, które nie ucierpiały wcale od mrozu; stopień „1” otrzymają mało uszkodzone, a więc wykazujące dużą odporność; stopień „2” otrzymają takie, które silnie ucierpiały, więc gdy np. zmarzł cały przyrost ostatniego roku, albo padła ofiarą część korony, czy potworzyły się rany na pniu; stopień „3” dostaną wreszcie takie, które zmarzły doszczętnie, albo przynajmniej w takiej mierze, że niema nadziei odratowania ich, lub uległy zupełnemu zniekształceniu i t. d.

Parę razy powtórzyłem wyżej określenie: gatunki i odmiany. Pod tym względem u ogółu pojęcia

¹⁾ Spostrzeżenia należy nadsyłać pod adresem Stacji Ochrony Roślin T. O. W.: Warszawa — Bagatela 3 — albo na ręce Związku Właścicieli Sadów (adres ten sam).



nie są ustalone; żeby więc uniknąć omyłek i nieporozumień, wyjaśniam, że gatunkiem nazywamy, zgodnie z nauką, jabłoń, gruszę, śliwę, bez, klon, wiaz i t.p., zaś w granicach tych gatunków istnieją mniej lub więcej liczne odmiany, np. jabłonie: reneta kaselska, pepina Rybstona, kosztela, antonówka i t. d. Odmianami gatunku „grusza” będą np.: masłówka Liegla, bonkreta Williamsa, bergamota Esperena, dobra Ludwika i t. d. Gatunek „śliwa” obejmuje węgierki zwykłe, renklody Althana, Ulena, fellemburgi i różne inne. Wśród gatunku „bez” (lilak) rozróżniamy odmiany pojedynczokwiatowe i pełnokwiatowe, noszące różne pięknie brzmiące nazwy, jak Charles X, Président Loubet, Marie Legray i szereg innych. O tem powinniśmy pamiętać nawet w rozmowie potocznej, a nie chwalić sadu sąsiada czy swego, że zawiera takie piękne i smaczne *gatunki*, przypuścmy, gruszek, bo są to *odmiany*.

Ale wróćmy do rzeczy.

Z pomyślnego przebiegu jesieni można było rozkładać, że drzewa zimę przetrwają pomyślnie: jesień była długa, niezbyt ciepła, więc nie pobudzała soków do krążenia, a przeciwnie, sprzyjała ich osiadaniu, dzięki czemu tkanka latorośli mogła należycie dojrzeć i uodpornić się. I byłby pewno obfity urodzaj owoców, gdyby nie nadzwyczajna, katastrofalna zima.

Najprzód sygnalizowano, że pnie drzew od mrozu popękały. Ta wieść, elektryzująca głównie miłośników, na sfery ogrodnicze mniejsze wywarła wrażenie. Pękanie podługne pni drzew nie należy do objawów pożądanych, ale nie jest też groźne. Nie potrzeba zakładać żelaznych obręczy, żeby drzewo spoić napowrót, bo szczelina zamknie się sama, gdy mrozy przejdą. A jeśli jeszcze jakaś głębsza rysa pozostanie, to należy ją wysmarować roztworem Karbolineum ogrodniczego, rozpuszczalnego w wodzie, a potem wygładzić ostrym nożem poszarpane strzępki kory i ranę zasmarować maścią ogrodniczą, zaś przy większych jej rozmiarach — gliną z krowieńcem. Po roku nie pozostaje zwykle śladu po pęknięciu.

Groźniejsze wieści zaczęły napływać później, gdy już można było wejść do sadu i zbadać szkody indywidualne na każdym drzewku. Wtedy dopiero się ujawniło, że prawie wszystkie grusze wymarły doszczętnie, bardziej czule jabłonie trochę ucierpiały, a u czereśni przemarły wszystkie pączki. Znaczący to, że większość gruszy wypadnie z ogrodów usunąć i że na szereg lat zapowiada się brak produkcji krajowej tego smacznego i pokupnego owocu; znaczy to, że czereśni w tym roku wcale zbierać nie będziemy, tylko, kogo będzie stać na to, ten kupi przywiezione z zagranicy; znaczy, że nawet część jabłoni odchoruje tę zimę: może straci poszczególne konary, zniekształci się, a może nawet wypadnie delikatniejsze egzemplarze tu i owdzie wyrzucić!

Takie wiadomości napływają nietylko z różnych okolic Polski, ale i zagraniczne pisma je przynoszą,

czyli że klęska przybrała bardzo poważne rozmiary i ogarnęła wielką połać naszego kontynentu.

Zupełnie odpornymi zdają się być śliwy i wiśnie. Jak dotychczas, nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby te dwa gatunki gdziekolwiek uległy zmrożeniu. Ale dopiero liczne informacje z całego kraju będą mogły odpowiedzieć na pytanie, czy i jaki wpływ wywarły warunki miejscowe, a więc: przepuszczalność i suchość położenia, względnie bliskość wody zaskórnej, wystawa sadu w stosunku do stron świata, osłony naturalne lub sztuczne. Trudniej będzie zebrać informacje o wpływie podkładek na drzewa starsze, i tu jednak można przyjąć, że wszystkie drzewa pienne są uszlachetniane na dziczkach, a drzewa karłowe, więc sznury, wachlarze, stożki i t. p. — na podkładkach karłowych. Udało mi się stwierdzić, że np. owiązanie drzew słomą nie uchroniło ich bynajmniej od zmarznięcia, pomimo że stały na gruncie suchym, w położeniu wysokim, a więc daleko od wody zaskórnej (Skolimów). W związku z tem ciekawe będzie, jak przetrwały zimę morele, brzoskwinie i winorośl, czy korzystniejsze okaże się okrywanie tej ostatniej ziemią, czy słomą; jaką odporność wykazały róże i jaki system okrywania ich dał najlepsze wyniki?

Przy badaniu drzewek obecnie spotyka się takie, u których miazga jest nieco zbrunatniała, więc zdradzająca nie zmrożenie całkowite, lecz częściowe uszkodzenie. Znowu otwiera się interesujące pole do dostrzeżeń, o ile drzewa w takim wypadku są zdolne szkody goić i miazgę regenerować.

Tu byłoby może wskazane nadmienić, że najślabsze ślady porażenia przez mróz ujawniają się w postaci szernienia rdzenia latorośli, czyli t. zw. przez ogrodników „muchy”. Zrazy z muchą nie nadają się do szczepienia, choćby miazga była zupełnie zielona. Następny stopień zmrożenia występuje w warstwie „miazgi”, t. j. w zielonej warstewce, leżącej bezpośrednio pod korą: z początku ciemniejsza ona, traci żywą, jędrną zieloność, potem pojawiają się smugi lub centki brązowe, wreszcie brunatnieje zupełnie i wtedy trzeba uważać tkankę za zabita. Część drzewa, która wykazuje zbrunatniałą miazgę, już uleczona być nie może. A więc badanie stanu zmarznięcia prowadzić należy drogą nacinania latorośli, gałęzi, konarów i pni.

(d. c. n.)

Stan. Schönfeld

Nowe źródło dochodu dla pań, mieszkających na wsi lub pod miastem, to *hodowla roślin lekarskich* — to też radzimy nabyć jaknajprędzej książeczkę p. t.

ZIOŁA LEKARSKIE
(najlepszym źródłem dochodu)

Cena 1 zł. 50 gr.,

z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Pl. Zamkowy 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. Warszawa Nr. 13.555.

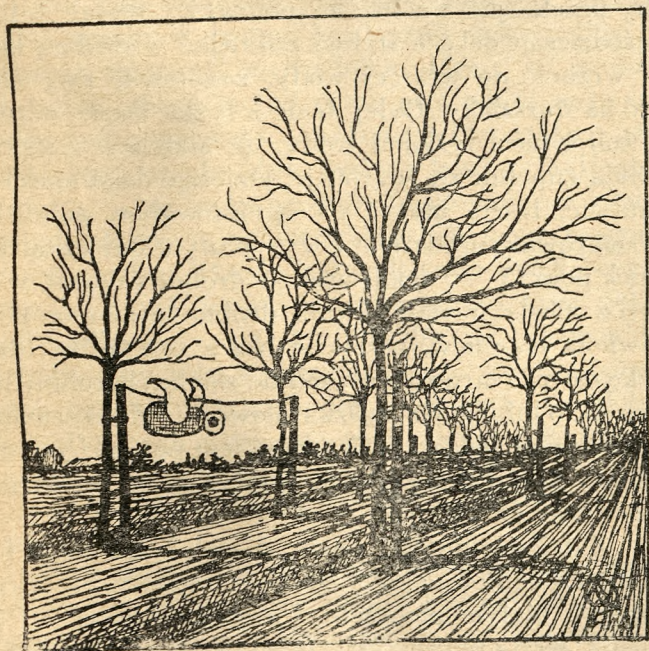
STRACH NA WRÓBLE

Już i ptaki zmądrzały, już za nie mają grożącego im dwiema pięściami „stracha“. A nawet tak się z nim już zżyły i zaprzyjaźniły, że często w ucieczce przed groźnym dla nich drapieżnikiem — jastrzębiem szukają schronienia w szerokich rękawach strasydła! Tam dopiero czują się bezpieczne; co więcej, doświadczenie już je nauczyło, że taka lala rozczapierzona — to drogowskaz przysmaków: jeśli cały dzień daremnie się za smaczniejszymi kaskami ugaśniały, tam je znajdą niewątpliwie.

Mniej jednak zachwyceni jesteśmy tym sprytem wróbli, my, siewcy!

Całodzienna nasza praca w pocie czoła w ciągu paru zaledwie godzin bywa całkowicie zniszczona. Konieczna potrzeba stała się znów matką wynalazku, choć tym razem tylko w dziedzinie strachów na wróble.

Widząc uciekające w popłochu stado wróbli przed jastrzębiem, pewien ogrodnik wpadł na myśl, że sztuczny duży ptak mógłby doskonale służyć do straszenia tych nieznosnych szkodników. Pomyślane — zrobione. Wziął dwa worki: jeden większy, ciemny, drugi mały, biały; nappełnił je watą drzewną, aby były lekkie, zeszył razem; do większego przymocował dwa zgięte w kształcie skrzydeł druty, okręcone kolorowymi albo białymi szmatami, a na małym worku, który miał imitować łeb, wymalował duże, czarne oczy; wszystko to zawiesił pomiędzy dwoma drzewkami czereśni, na mocno naprężonym sznurku, a tam, gdzie drzew nie było — na dwóch: specjalnie na ten cel wbitych, tyczkach. Rezultat okazał się wspaniały: improwizowany ptak przy lada podmuchu wia-



Nowoczesny strach na wróble

tru poruszał się, siejąc panikę pomiędzy małym ptactwem.

Czy wróble prędko się znów na naszym podstępnie poznają, to pytanie, w każdym razie jednak, chwilowo, nie zdradzają nawet ochoty przyjrzenia mu się zbliska, okrążając go jak najdalej. A. D.



SZCZOTKI I ŚCIERKI

W największej pogardzie i w największym zaniedbaniu są w przeciętnym gospodarstwie miejskim i wiejskim właśnie te ważne przyrządy, które do utrzymania porządku i czystości służą. Sprzątając byle czem, sprząta się, oczywiście, byle jak, a czasu się używa nieraz dużo więcej, niż przy porządnym sprzątaniu odpowiednimi przyrządami. Mamy różne najnowsze wynalazki, jak na przykład, odkurzacze elektryczne, znakomicie ułatwiające pracę, w zupełności jednak zastąpić szczotki one nie mogą — szczotki, a szczególnie ścierki. Tylko ścierka z kuchni coraz bardziej przenosi się do pokoju, bo w kuchni w dużym stopniu zastępuje ją szczotka do naczyń, pozostawiając ścierce wycieranie stołów, podłogi i ścian, gdyż we współczesnej kuchni ściany powinny być wykładane kafelkami, lub malowane olejno i myte jaknajczęściej. Same szczotki i ścierki — dawniej rozłożone i rozwieszane po całej kuchni — racjonalnie urządzająca swą kuchnię i organizująca w niej pracę, pani domu usuwa z ich dawnych miejsc i albo przeznaczają na nie oddzielną szafkę, ustawioną w samej kuchni, lub lepiej w sionce, albo chociaż kącik oddzielny, zaopatrzony w półki i haczyki i odgradzony od reszty kuchni gęstą firanką.

Czyszczenie ubrań i obuwia nie powinno w żadnym razie odbywać się w kuchni, aby kurz i błoto z ulicy, sproszone przy czyszczeniu, nie osiadały na pokarmach, ani na naczyniach, do ich przyrządzania przeznaczonych. Jeżeli nie mamy jakiegś sionki, jakiegoś pasażyku, gdzie tę pracę możnaby wykonać, na schodach zaś przepisy miejskie czyszczenia ubrań nie pozwalają (a byłoby to najbardziej racjonalne) — to lepiej oczyścić ubranie w przedpokoju, a potem kurz ten, czyszczeniem spowodowany, zebrać odkurzaczem, lub wilgotną ścierką.

W szafce lub kąciku, odgradzonym i na szczotki przeznaczonym, gromadzimy na półkach wszystko, co do sprzątania i czyszczenia może być potrzebne. A zatem szczotki, sukna, zaprawę do froterowania posadzek; wszelkiego rodzaju szuwaksy i pasty do obuwia, szczotki do niego, sukienne i zamszowe

ściereczki do glansowania; proszki i płyny do czyszczenia metali, ściereczki irchowe i barchanowe do tegoż użytku, szczoteczki z pasków irchowych do mycia ozdobnych platerów i sreber. Ostatnimi laty szeroko reklamowane są ściereczki do czyszczenia metali na sucho. Działają one rzeczywiście doskonale i czyszczą każdy przedmiot łatwo i dokładnie. Niestety, działają tylko do pierwszego wyprania: potem tracą swą czarodziejską właściwość, stają się zwykłą, niedużą, barchanową szmatką. Należy więc starać się wyzyskać jaknajlepiej i najdłużej taką ściereczkę, a dopiero gdy się stanie absolutnie nie do użycia z racji brudu, — zdecydować się na oddanie jej do prania.

W dziale szczotek od lat kilku zaznaczyć należy duży postęp. Coraz bardziej wchodzi w użycie szczotka z bawełny knotowej, znacznie lepiej od szczecinowych zbierające kurze i dające się uprać każdorazowo po nasyceniu brudem. Szczecinowe szczotki brud ten lata całe w sobie przechowywały. Mamy też szczotki do mycia okien, pozwalające osobie myjącej stać w pokoju około mytego okna, bez narażania się na niebezpieczeństwo upadku z parapetu. Praca, tak wykonywana, daje doskonale rezultaty, należy tylko przezwyciężyć uparty konserwatyzm służących, które wolą narażać zdrowie i życie, niż stosować nowe, nieznane narzędzia.

Mamy doskonałe, ostrym trójkątem zakończone szczotki do zmiatania kurzu w kątach i rogach pokoi. Szczotki z twardej szczeciny, z wygodną rączką do trzymania, pomagają nam usuwać dokładnie wszelkie resztki potraw i sosów z talerzy przed ich zmywaniem. Oszczędza to pracy przy zmywaniu tych talerzy, także wody, która się prędko zanieczyszczała takimi odpadkami, i należało ją kilkakrotnie zmieniać. Mamy różne szczotki o długim, miękkim włosie, przeznaczone do odkurzania figur bronzowych i porcelanowych, złożonych ram, obrazów, zegarów ściennych i t. p. Zastępują one dawne miotelki z piór, nietrwałe, a zatem niepraktyczne.

Czuję już gromadzącą się niechęć bezkrytycznych zwolenników elektrycznego odkurzacza. Nie wszędzie jednak jest odkurzacz, bo nie wszędzie jest elektryczność. A zresztą po codziennym czyszczeniu odkurzaczem dywanów, na przykład, należy te dywany dwa lub trzy razy do roku wytrzeć, a przekonamy się, że kurzu w nich sporo pozostało. Żadna praca mechaniczna, chociażby najbardziej udoskonalona, pracy rąk ludzkich nie zastąpi: może ją co najwyżej ułatwić.

Jeżeli w dziale szczotek mamy długie szeregi inowacyj, to w dziale ścierek żaden wynalazek nie potrafił zastąpić mocnej i trwałej ścierki z surowego, lnianego płótna. Jeżeli przy zmywaniu naczyń znajduje ona mniej zastosowania przez wprowadzenie automatycznie działających szaszerek, to przy sprzątaniu, myciu i szorowaniu podłóg, ścian w kuchni

i w łazience, wanny i t. p. — króluje, jak dawniej, niepodzielnie. Tylko w dużych miastach coraz o nią trudniej. Zastępuje ją coraz częściej ścierka cienka, bawełniana, nie tylko nietrwała, lecz i niepraktyczna, która nasiąka momentalnie wilgocią i pozostawia drobne włoski, puch bawełniany na wycieranych przedmiotach. Do kurzu jeszcze od biedy ujdzie, lecz do naczyń, do szkła głównie — zupełnie się nie nadaje. Na dobre ścierki trzeba się starać o płótno czyste lniane, mało lub zupełnie niebielone, jakie wyrabiają włoscianki na Kresach wschodnich. Żaden wyrób fabryczny nie jest w stanie ich zastąpić. Trwają lata całe, przez częste pranie stając się coraz bardziej miękkie i przyjemniejsze w użyciu. Do kurzu można używać ścierek irchowych lub barchanowych. Dobrze też, chociaż nietrwałe, są ściereczki, robione ze starej, lnianej bielizny stołowej, pościelowej, lub nawet osobistej, muszą być jednak starannie obrobione i naznaczone. Powinny to być porządne ściereczki, nie szmaty.

Pani Elżbieta.



W SEZONIE JAJ

JAJA „A LA VICHY“.

Dziesięć jaj ugotować na twardo, zanurzyć w zimnej wodzie, aby łupinki łatwo się dały zdjąć, oczyścić, przekrajać wzdłuż na połówki, wyjąć żółtka. Sześćdziesiąt deka marchwi pokrajać w drobną kostkę, wrzucić do wrzącej wody, zagotować raz, odcedzić na durszlaku. Dalej dusić z łyżką masła, odrobinną soli i paru łyżkami wody, aż marchew zmięknie i woda zupełnie się wygotuje. Dziesięć deka marchwi zostawić, resztę ułożyć na ogniotrwałym półmisku, wysmarowanym masłem i wysypanym bułeczką. Kawalek pora (3 — 5 deka) usiekać drobno i udusić w łyżeczce masła; dodać równie drobno usiekaną pozostawioną marchew, przetarte przez sito żółtka, dużą łyżkę ostrego tartego sera, soli do smaku, odrobinę pieprzu (kto lubi, gałki muszkatołowej) i tyle beszamelu, aby masa się połączyła. Nadziać tem połówki jaj, aby nabrały kształtu jaj całych. Ułożyć je na podkładzie z marchwi na półmisku.

Z dziesięciu deka masła, dwóch łyżek maki i litra mleka ugotować gęsty sos beszamelowy, osolić, popieprzyć białym pieprzem. Parę łyżek użyć do nadzienia, resztą pokryć jaja. Obsypać grubo ostrym serem tartym, zmieszanym z bułeczką, skropić masłem

i wstawić na kwadrans do gorącego pieca. Gdy tylko ser się dobrze zrumieni, podawać natychmiast, aby beszamel nie opadł.

JAJA NA GRZANKACH.

Ile jaj, tyle dużych, okrągłych grzanek, bardzo cienko pokrajanych i ładnie z obu stron zrumienionych na maśle lub szmalcu. Do sadzenia jaj są specjalne patelnie, z wgłębieniami w kształcie małych dołków, w których się jajka nie rozlewają. Jaja usmażyć na maśle, uważając, aby żółtka pozostały miękkie, a nie porozlewały się. Na każdej grzance położyć po jajku, posolić drobną solą, opieprzyć lekko białym pieprzem. Na każdym jajku położyć na ukos jedną sardelę (anchois), które już obecnie można dostać i w Polsce. Podawać gorące do śniadania lub przekąski.

JAJA W MUSZELKACH.

Cwierć kilo szynki surowej lub gotowanej, przeraśniętej, pokrajać, jak kluski, w najdrobniejsze paski. Dziesięć muszelek wysmarować grubo masłem, wysypać bułeczką, zmieszaną po połowie z tartym serem (parmezanem, szwajcarskim lub chociaż zielonym). Na to położyć warstwę pokrajanej szynki, robiąc małe wgłębienie pośrodku. Wbić w każdą muszelkę po jajku, — ostrożnie, aby żółtka pozostały całe. Osolić, odrobinę popieprzyć, znów posypać bułeczką z serem i wstawić na kilka minut do pieca. Gdy się białka dobrze zetną, wyjąć z pieca i gorące podawać.

JAJA NA SZPINAKU.

Pół kilo szpinaku przebrać, opłókać, pokrajać ostrym nożem w drobną kostkę (nie siekać). Pięć deka masła rozpuścić w rondelku, włożyć na nie szpinak, osolić, dusić wolno przez pięć minut najwyżej. Dodać łyżkę śmietany, oprószyć lekko mąką, wlać pół szklanki rosółu lub wody z kostką buljonową (krajową — nie zagraniczną). Zagotować raz jeszcze. Szpinak ułożyć na ogniotrwałym półmisku, posmarowanym masłem. Posypać dwudziestoma deka szynki przeraśniętej, pokrajanej w paski, lub tak samo pokrajanej kielbasy krakowskiej. Wybić na to osiem jaj, ostrożnie, aby żółtka pozostały całe. Osolić, popieprzyć, wsadzić w gorący piec, aby się białka dobrze ścięły. Podawać gorące na tym samym półmisku.

JAJA W CHRZANOWYM SOSIE.

Piętnaście deka najgrubszego makaronu ugotować, nie przegotowując zanadto: gdy nie chrupie pod zębami — ma dosyć. Pokrajać w trzycentymetrowe kawałki, przelać zimną wodą, aby się nie zlepiały, wło-

żyć napowrót w rondel, dodać łyżeczkę od herbaty masła, przetrząsać mocno, trzymać w cieple. Osiem jaj ugotować na twardo, oczyścić z łupinek, pokrajać na ćwiartki. Utrzeć kawałek chrzanu, skropić go octem, posypać odrobiną cukru, trzymać tak parę godzin, aby zbyt ostrą ostrość stracił. Podsmażyć chrzan w dobrej łyżce masła, dosypać łyżkę mąki, zagotować razem, rozprowadzić rosółem lub wodą do gęstości bardzo zawiesistego sosu, dodać dobrą łyżkę kwaśnej śmietany. W foremce ogniotrwałej, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką, ułożyć rzędami makaron i jaja. Można pomiędzy nie poukładać zimne mięso, pokrajane w kostkę (nie jest to jednak konieczne). Pokryć chrzanowym sosem, posypać tartą bułeczką, skropić masłem i wstawić na kwadrans do pieca. Gdy się lekko zrumieni, podawać gorące. Bardzo dobra potrawa na kolację.

KREM RYŻOWY.

Pół szklanki ryżu zalać półtorej szklanką mleka, dodać dwie łyżki cukru, zagotować raz; włożyć łyżeczkę od herbaty śmietankowego masła, wymieszać; rondel zakryć szczelnie, wstawić w niezbyt gorący piec, aby ryż wybrzękł i upiekl się. Wyjąć z pieca, ostudzić, wsypać trochę utłuczonej z cukrem wanilii i otartą na delikatnej tarce skórkę z pół cytryny. Przygotować parę łyżeczek różnych konfitur, osączonych z syropu: rozpuścić w kilku łyżkach wody 7—8 listków białej żelatyny. Kwaterkę kremowej śmietanki słodkiej lub dobrej śmietany kwaśnej ubić na pianę, włożyć do ryżu, dodać konfitury i na koniec rozpuszczoną żelatynę. Wymieszać wszystko razem bardzo prędko, włożyć do formy, wylaną wodą i wysypaną cukrem, i wynieść na lód lub tylko na chłód na godzin sześć. Podając, wyrzucić na półmisek i polać syropem, pozostałym od konfitur.

Pani Elżbieta,

Nareszcie każda z Pań będzie mogła
własnoręcznie ozdobić sobie modną
suknię, szal lub apaszkę

bo ukazała się książeczka p. t.

**MALOWANIE,
TAMPONOWANIE,
LIWORYZACJA**

która uczy wykonania tych wszystkich
robót i daje wzory naturalnej wielkości

Cena 1 zł. 50 gr. Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Pl. Zamkowy 99
Konto P. K. O. Nr. 13.555.

DOBRE RADY

Welnę, sprutą ze starych pończoch, swetrów lub szali, zwinąć w kłębki, włożyć na noc w garnek z zimną wodą. Rano postawić naczynie na ogniu i powoli zagrzewać wodę aż do zagotowania, poczem ściągnąć natychmiast garnek i postawić w chłodzie do zupełnego wystudzenia. Wtedy wyjąć kłębki, doskonale wycisnąć z wody i wysuszyć na powietrzu. Skoro z wierzchu będzie wełna sucha, przewinać ją na drugi kłębek tak, aby ta, co była na wierzchu, poszła do środka. Będzie, jak nowa.

Aby ustrzec sznury od luster i obrazów od przetarcia, trzeba raz lub dwa razy do roku zdejmować je, zbadać i przesunąć linkę. Dla uniknięcia tej ambarasowanej ewentualności, najlepiej wieszać ciężkie sztuki na sznurach, uplecionych z drutu, okręconych nitką jedwabną lub wstążeczką. W razie wieszania luster na sznurach konopnych, trzeba hak, na którym się je wiesza, owinać miękką skórą od rękawiczki, co zabezpieczy od tarcia, a tem samem od zerwania się linki.

KORESPONDENCJE

Pani K. K. — Koneck. — Adres odpowiedniej szkoły: Warszawa — Seminarjum Państwowe — Górnośląska 29.

Pani I. P. — Czeladź. — Do jazdy na rowerze trzeba mieć

specjalną szeroką sukienkę, zapinaną środkiem przodu i tytu na guziki, tak, aby dziurki były po jednej, a guziki po drugiej stronie każdej połowy. Krój spodniczki powinien być kłoszowy, kolor — najlepiej granatowy; czapeczka w kształcie modnych beretów; dessous czarne trykotowe; buty sportowe; jako bluzeczka — odpowiedni w kolorze jumper lub żakiet.

Pani M. W. — Szczecin. — Po okwitnięciu najlepiej zostawić cebulki w doniczkach aż do zupełnego zaschnięcia, poczem wyjąć je i trzymać w siatkowym woreczku, zawieszonym w suchym miejscu u sufitu. Strzec trzeba przed myszami, które bardzo lubią kaleczyć cebulki. Odpowiedni podręcznik do hodowli, to Nr. 26 „Życia praktycznego“ pod tytułem „Pędzenie roślin w pokoju“.

Pani H. W. — Gnieszowice. — Przyrząd do natrysków dostanie Sz. Pani w domu handlowym Müller i Sp.: Jerozolimska 32, w Warszawie.

Pani Dr. P. — Poznań. — Rysunek w naturalnej wielkości przesłać możemy. Kosztować będzie z przesyłką pocztową 6 zł. — Zechce Sz. Pani donieść jak najprędzej, czy to jest wzór z numeru 44-go i przysłać należność przekazem, gdyż zaliczenie jest kosztowne i nie opłaca się przy tak drobnej kwocie.

Pani W. C. K. — Chociaż kolor czarny jest bardzo modny i zawsze elegancki, dalekie są czasy, kiedy był obowiązujący na pierwszej wizytę — naturalnie, o ile nie jest się w żałobie. Każda elegancka sukienka — ciemniejsza w zimie, jasna w lecie — będzie odpowiednia na pierwszą wizytę.

Pani E. B. — Katowice. — Niech Sz. Pani zwróci się do Towarzystwa Gazowego: Warszawa, ul. Kredytowa Nr. 3 — Sekretarjat. Maszynka taka nazywa się „Prodię“.

Każda gospodyni, która pragnie dom prowadzić — oszczędnie, musi nabyć książeczki p. t.

„JAK ODRÓŻNIĆ TOWAR DOBRY OD ZŁEGO”

I. Owoce i jarzyny — II. Różne produkty spożywcze — III. Mięso i ryby
które uczą racjonalnego, a więc taniego kupowania produktów.

Cena każdej książeczki 1 zł. 50 gr.

Z przes. pocztową 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13 555.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI „VARICOL”
HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przem. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Z tytułami, czy bez tytułów? (w odpowiedzi
Warszawiance L.).

Przeczytałam w „Mównicy“ kilka słów w kwestji tytułomanji i pozwałam sobie też głos w tej sprawie zabrać. Przedewszystkiem chciałabym wyjaśnić pochodzenie tytułów mężatek. Jest to zwyczaj staropolski. Wojewodzina, staroscina etc. oznacza przynależność małżeńską do pewnego mężczyzny, na takim lub innem stanowisku. Wypływa to z gwary ludowej, tak samo jak Janowa, żona Jana i t. d. Wśród osób należących do rozgałęzionych rodzin, też panował podobny zwyczaj, — mówiono Janowa Zamoyska lub Ignacowa Moraczewska, dla odróżnienia od innych pań tej samej rodziny. Nie rozumiem wcale, czem może to uchybiać godności kobiety. Tak samo się przedstawia ta sprawa w Rodzinie Wojskowej. Taki a taki — porucznik, kapitan, generał, a jego prawna małżonka porucznikowa, kapitanowa, generałowa.

Mnie się zdaje, że punkt ciężkości tego, na co panie narzekają, leży gdzieś indziej. Nie przeczę, że kobiecie współczesnej, która sama, nieraz bardzo ciężkim wysiłkiem zdobyła sobie tytuł naukowy lub zawodowy, może być czasami przykro, że inna tylko z tej racji, że wyszła zamaż nosi tytuł podobny. Choć dla kobiety wyższego ducha i umysłu napewno kwestja tytułu jest drobnostką. Ale o co właściwie chodzi paniom ze sfer wojskowych? Czy o to, że wymawiając słowa: „pani pułkownikowa“, pani porucznikowa odrazu widzi całą drabinę na szczeblach której siedzą coraz wyższe od niej szarży? Czy to ją poniża? Jeśli tak, niech spojrzy w dół tej drabiny, a tam, mój Boże, sierżentowe, kapralowe, plutonowe, czy ja wiem — „imię im legjon“!

Jestem sama żoną oficera. Życie oficerskie miałam możność obserwować nietylko w Polsce, ale i w Rosji. Jestem kobietą w bardzo poważnym wieku i obserwacje moje trwają już wiele, wiele lat. Na obczyźnie nie spotkałam się z tytułowaniem żon z racji stanowiska męża, nawet do mężczyzn wyjątkowo zwracano się tam per: p. porucznik lub p. kapitan. Było to przyjęte tylko między oficerami podczas służby.

Zdarzało się, że „generalsza“ „trzęsła“ swymi podwładnymi, jak to zaznacza jedna z Sz. Korespondentek. Ale w życiu towarzyskiem mówiło się do niej: „Anna Iwanowna“, etc. „Ekscelencjo“ mówili jedynie ordynansi. A co ważniejsze, zdarzało się też bardzo często, że całym pułkiem „trzęsła“ właśnie żona oficera niższej szarży!

Czy to i teraz się nie zdarza! I czy mniej to trzęsienie byłoby odczuwane, gdyby się do tej pani mówiło poprostu: Pani X. Więc się jedna z Sz. Korespondentek myli, twierdząc, że tytułomanja to zbytek czasów zaborczych. W Polsce stale się tytułują, lecz nietylko panie wojskowe. Zwalczając to przyzwyczajenie można, dążyć do zmniejszenia tytułów może trzeba, ale w imię czego? Jedna z pań pisze: „niech p. generałowa lub pani pułkownikowa przestanie patrzeć zgóry na małą porucznikową, bo często ta ostatnia stoi wyżej od żony oficera wyższej rangi“.

Słusznie, niech przestanie.

„Niech panie, znajdujące się w towarzystwie lub na zebraniu społecznym *będą sobie równe*, niech nie czują obawy wypowiedzania swoich zdań i myśli“.

Słusznie, niech nie czują obawy. I oto dochodzę do tego, co jest punktem ciężkości.

Czy pani porucznikowa X. odrazu wyzbędzie się obawy, jak tylko do niej zwróć się bez tytułu? Czy odrazu zapomni, że mówiąc do pani Ygrek, mówi do generałowej?

Niech panie same nie sądzą, że są „mniejsze“, niż żona oficera wyższej szarży, a wtedy przestaną się bać. Bo kto ma poczucie swojej godności osobistej, swego „ja“ równości towarzyskiej, ten nie będzie się nigdy bał.

Rozumiem źródło tych obaw: Mąż, jego służba, karjera mogą ucieść, o ile się trafi na żonę oficera która „trzęsie“ swoim lub cudzym mężem wyższej szarży. Wtedy oczywiście można mieć wiele przykrości. To prawda i niestety, często się zdarza. Ale o ile mąż owej porucznikowej jest istotnym mężczyzną, to będzie wolał przykrości, niż poniżenie godności ludzkiej swojej żony. Trzeba tylko, żeby mąż i żona jednako czuli i myśleli pod tym względem.

Oto fakt z czasów zaborczych: W garnizonie miało odbyć się obowiązkowe spotkanie Nowego Roku. Rozkaz dowódcy okręgu, aby rodziny oficerskie były w kasynie. W rozkazie stało: „dla pp. oficerów mundur galowy — dla pań białe toalety“. Jedna z pań włożyła jednak fioletową. Podczas balu zwrócił się do jej męża dowódca okręgu i niby dobroduszenie rzekł: „żona Pana ślicznie dziś wygląda, ale zdaje się, w rozkazie było, dla pań suknie białe“, „Tak jest, Ekscelencjo, ale nie jesteśmy przy dworze, i mojej żonie nikt rozkazywać nie ma prawa“, odparł zainteresowany. Ten oficer się nie bał.

Drugi fakt: Przybył nowy dowódca pułku, którego żona była damą dworu cesarzowej. Składali wi-

żyty razem tylko oficerom wyższych szarż. Do niższych dowódca udawał się sam. Przyjechał i do nas. Męża mego w domu wówczas nie było. Ordynans przyniósł mi kartę, z zapytaniem „czy Pani jest w domu”. Stałam na werandzie, pułkownik mnie widział i słyszał. Rzekałam jednak głośno: „Powiedz, że nie przyjmuję”.

W parę dni potem wypadła obowiązująca „gałwka”. Dowódca zbliża się do mnie, ze słowami: „nie jest Pani uprzejmą dla swoich znajomych, obraża ich Pani”. „Przepraszam, to Pan śmiał do szanowanego, rodzinnego domu przyjechać z wizytą bez żony. To Pan mi ubliżył, więc Pana nie przyjmę”.

W tym wypadku żona się nie bała, wiedziała bowiem, że mąż będzie z nią solidarny. W następną niedzielę dowódca był z żoną razem u wszystkich młodszych oficerów.

Wszystko więc zależy od tego, jak kto się sam ceni. Oczywiście, że trzeba być przygotowanym na skutki swojej odwagi. Na to już rady niema. Albo karjera i obawa, albo odwaga bronięcia swojej osobistej godności i gotowość poniesienia konsekwencji. To ostatnie oczywiście w wypadkach, gdy się trafi na osoby, które razem z coraz wyższym stanowiskiem dostają w mózgowicy coraz większej szczeliny, przez którą ulatuje reszta zdrowego rozsądku! Bo ludzi nie liczących się z godnością drugich jest bardzo, niestety, dużo! A pozwalających po sobie deptać — jeszcze więcej! W Polsce widziałam wiele wypadków, które mnie trochę bawiły, ale jednocześnie martwiły za wsze. Oto przykład: Do większego miasta na prowincji przyjechała przypadkiem żona oficera na wysokim stanowisku. Tegoż dnia w jednym z pułków odbywało się zebranie towarzyskie, na które dowódca pułku ową przyjezdną zaprosił. Gdy weszła do salonu, obecne panie nie zwróciły przez dłuższy czas uwagi na przybyłą. Nagle dowódca odzywa się: „proszę państwa, mamy gości: pani generałowa, żona dowódcy Y”. Wszystkie panie naraz wstają! Dlaczego? Pani ta nie była sędziwą matroną, przeciwnie, młodą osobą! Co skłoniło towarzystwo do powstania? Prawdopodobnie poczucie wysokości owego szczybla, stanowisko! Bo nie szacunek dla gościa: przed paru minutami nie dbały o niego.

To jest przykład, jak się nie robi!

Prowadzę do tego: aby nie odczuwać tej różnicy szczybli, trzeba nosić poczucie równości w sobie. Trzeba zapomnieć zupełnie, że się jest żoną oficera i pamiętać o tem tylko, że się jest żoną danego człowieka. I póki tego nie będzie, żadna walka z tytułomanją nie pomoże. Będą zawsze „generalsze”, które „trzęsą” — i „małe porucznikowe”, które „trzęsą” i które na dźwięk słowa „generałowa” wstają!

Jeżeli może kogoś niechcący uraziłam, pisząc te słowa — bardzo żałuję. Pisałam, widząc młode, zakłopotane twarzyczki osób, które czują, że jest źle, a są zbyt młode i niedoświadczone, aby zdać sobie sprawę dlaczego tak jest. Nazwałam rzeczy po imieniu. Wszystkie młode Sz. Korespondentki niech przeczytają bez gniewu to, co napisała kobieta, która była sama porucznikową i kapitanową, aż posiwała i

została generałową (na to, że nią jestem, nie poradzić nie mogę, chociaż mocno przepraszam), ale która przede wszystkim nigdy nie zapominała sama o tem, że jest „ja”, człowiekiem, kobietą, żoną wybranego mężczyzny, nie oficera, i która nigdy nie dała przewodzić nad sobą nikomu, stosując w życiu jedną tylko zasadę: uszanowania w każdym jedynie jego ludzkiej godności. Nie zawiodło to nigdy. Szanowałam siebie — musiano szanować mnie.

W każdej żonie kolegi mego męża lub jego subalterne’a, widziałam tylko panią Zofję, Marję lub Różę, w każdym oficerze jedynie pana X, Y, Z. Było mi obojętne: porucznik, czy pułkownik — to należało do mego męża. Nigdy nie interesowało mnie, kto czem dowodzi. Mąż był i jest w służbie wojskowej, ja, nie. To jest jedyny środek, żeby się między paniami nie tytułować, a jeżeli i tytułować, to bez obawy wypowiadania swego zdania i swych myśli. Bo tytuł dziś jest jeden a jutro drugi, godność zaś ludzka zawsze jedna i zawsze w człowieku.

Powie może która z pań wojskowych, „dobrze jej tak mówić, kiedy jest generałową”.

Właśnie dlatego mówię. Bo każdą chorobę trzeba leczyć radykalnie, a nie zalecać powierzchownie. Bo obowiązkiem starszych jest podać lekarstwo dla użytku młodszych. Bo kobieta powinna być „Wielką Wychowawczynią”, nie tylko młodszego pokolenia, lecz wszystkiego, co ją otacza. Zwalczać to, co małe, przyziemne, materialne, wychowywać i rozwijać to, co wielkie, etyczne, Boskie i duchowe.

Bo niema nic niższego nad zdeptaną, poniżoną godność człowieka, i nic wyższego nad uszanowanie jego ludzkiej i duchowej wolności.

M. J.

Jeżeli mówimy, to i czynimy.

Dusza się raduje na widok szybkiej ewolucji kobiety polskiej, biorąc choćby za punkt obserwacyjny „Naszą Mównicę” w „Bluszczu”, gdzie w krótkim czasie zdołano rzucić mnóstwo myśli pięknych i projektów rzeczowych. Gdyby choć połowę z nich zrealizowano, znikłaby nędza wszelkiego rodzaju. Kobieta pracująca, samotna, mieszkająca w przytulnym pokoiku wspólnego domu kobiet. Desperatów skierowałoby pogotowie ratunkowe do „Przystani”, gdzie zajęłoby się nimi i skąd wychodziliby odrodzeni duchowo. Nieślubna matka nie podrzucałaby dziecięcia, gdyż danoby jej dach nad głową i możliwość karmienia swego maleństwa. Upadła moralnie kobieta zamiast zinnego, obojętnego, często brutalnego urzędnika — mężczyzny, znalazłaby współczujące serce kobiety, która miękką dłońią dotykałaby jej chorej duszy i upodlenia człowieczego. Kobieta pracująca w różnych zawodach nie miałaby niższego wynagrodzenia, mimo, że wykształceniem, zdolnością i pilnością dorównuje mężczyźnie i tak samo ma rodzinę do żywienia. A co najlepsze, miałyby prawo żądać od mężczyzny satysfakcji honorowej za obrazę, gdyż byłaby ob-

jęta kodeksem honorowym. Nawet i w domu pomiędzy rodzeństwem, gdy ośmioletnia Zosia nakrywa do stołu, myje naczynia, ceruje skarpetki, dziesięcioletni Staś musiałby nosić wodę, drzewo, bawić młodsze rodzeństwo, a nie tylko dokazywać, jak to teraz bywa.

Tak byłoby, gdybyśmy wszystkie nasze plany umiały wykonać.

Ponieważ jednak należymy do narodu łatwo zapalnego, musimy czuć, by nasze pomysły nie były ogniem słomianym. Starajmy się nasze projekty systematycznie przeprowadzić. Znam jedno stowarzyszenie zawodowe, istniejące od pięciu lat, które w tym czasie zdołało kupić willę ośmiopokojową z ogródkiem, urządzić ją kompletnie i obecnie członkom zostającym bez pracy daje w niej mieszkanie i utrzymanie za bardzo niską opłatą.

A stowarzyszenie to liczy zaledwie 100 członków, płacących 2 zł. miesięcznie składki, zarząd zaś składa się tylko z trzech osób.

Przytoczyłam ten fakt jako przykład, jak wiele można zrobić niewielkimi siłami, trzeba tylko wytrwale zwalczać trudności i działać.

Gdyby każda czytelniczka „Naszej Mównicy” w swym mieście, wiosce, i t. p. zorganizowała w miarę możliwości, czy Przystań dla desperatów, czy łobek choćby dla pięciu niemowląt, czy kurs dla dziewcząt pozaszkolnych, która walczyła się po ulicy, jakżeby się rozwinęła wspaniałe działalność społeczna w Polsce.

Jest tyle kobiet, mających czas i pieniądze, zbudźmy w nich inicjatywę i wskażmy im cele i obowiązki kobiety człowieka.

Obyśmy wkrótce mogły pisać w „Naszej Mównicy” o pracach już dokonanych.

Róża Machówna — Poznań

Kobiety muszą iść do służby społecznej (w odpowiedzi na artykuł p. St. Podhorskiej-Okołów)

Dwieście tysięcy dzieci — poza szkołą! Pani Podhorska - Okołów radzi powrót do tradycji „białych pańienek ze dworu”. Ale, czy takie jeszcze są? Ale, czy wystarczą?

Nie wydaje mi się roztropnem odrzucanie pałatywów, gdy gruntownie nie da się zło usunąć. i sądzę, że aż nadto często wykręcamy się od czynu pretekstem, że wynik nie byłby doskonałym rozwiązaniem zagadnienia, dosadną naprawą zła. Więc i owszem, niech pracują, jak mogą i gdzie mogą, ludzie dobrej woli, tylko jednocześnie należy oglądać się za środkami radykalniejszymi, za organizacją zwartą i mającą marmurowy podkład ciągłości i koordynacji.

Kobieta osiągnęła już, teoretycznie zwłaszcza, bezmała równouprawnienie. Wzięła też na się automatycznie swój dział obowiązków. Jednemu wszelako nie stało się zadość i wobec nawału niezaspokojonych społecznych potrzeb, pragnęłabym upomnieć się w imieniu kobiet o ekwiwalent służby wojskowej mężczyzny, o służbę społeczną kobiety.

Mężczyzna po ukończeniu lat 21 albo wykształcenia teoretycznego, odbywa „powinność wojskową”, daje półtora roku życia w ofierze ojczyźnie.

W wielkich chwilach dziejowych, w momentach bohaterskich, znalazła się i kobieta obok mężczyzny, nawet na froncie. Cześć!

Ale w pokojowym czasie nie w wojsku, tylko w służbie społecznej, obowiązującej powszechnie jak wojskowość, w służbie chorym, dzieciom, starcom, niemowlętom i matkom — pragnęłabym widzieć wszystkie bez wyjątku białe i szare dziewczęta w pracy powszechnej, zorganizowanej tak, jak wojsko, w szeregi karne, ujęte w żelazną obręcz dyscypliny, nawet umundurowane.

Czas trwania służby, organizacja jej, zastosowanie — to są szczegóły, nie tu dające się wyjaśnić i ułożyć. Sądzę tylko, że taki ekwiwalent wojskowości dla nowoczesnej kobiety byłby także bardzo pożyteczną szkołą...

M. B. z lubelskiego.

Szczęście w małżeństwie (w odpowiedzi p. Marji Szarkowej).

I ja chcę rzucić w „Naszej Mównicy” parę myśli, które nasunęły mi się po przeczytaniu artykułu pani. Dziwne i nieprawdopodobne zdaje mi się postawienie kwestji małżeńskiej tak, że „wierności małżeńskiej nie bierze żaden mężczyzna na serio”. Jakżeż? Więc żaden mężczyzna, wśród tylu tysięcy, nie jest dobrym, wiernym mężem? Stanowczo temu zaprzeczam. Mówię to, bo sama jestem mężatką i patrzę na tyle małżeństw, w których mąż naprawdę nie widzi nic poza domem i żoną, i to nawet wtedy, gdy dzieci nie mają.

Weźmy rzecz z głębszego punktu widzenia: miłość ludzka, to zupełnie co innego, niż czysto zmysłowy popęd zwierzęcy. Prawda, że zmysły mają swoje prawa i odgrywają pewną rolę, ale to nie wszystko. Człowiek powinien kochać, jeśli chce być człowiekiem, całą swoją istotą. I przedmiotem godnej człowieka miłości są nie same tylko zewnętrzne powaby ciała, ale przede wszystkim dusza drugiej istoty, zespolenie wszystkich uczuć z jej uczuciami. Jest to jakby zgubienie swojej indywidualności w indywidualności drugiego, i nawzajem nadanie mu swojej. Jest to tak ścisły duchowy związek, że trudno rozróżnić, gdzie się kończy moje „ja”, gdzie się zaczyna „ja” umiłowanej istoty: wszystko wspólne, wszystko jest jednością.

Tak pojęta miłość nie może być tylko chwilołą zabawką. Takiej miłości pragnie serce ludzkie; przyrzec, dotrzymać jej sobie nawzajem mogą tylko ci, którzy głęboko czują i szanują prawa boskie i ludzkie. Jednak tacy ludzie jeszcze istnieją. Gdyby „wierności małżeńskiej nie brał żaden mężczyzna na serio”, to co pomyślimy o naszych ojcach? I jakby nam się życie wtedy przedstawiało? Zresztą, powiedzieć też trzeba, że często szczęście małżeńskie zależy tylko od samej kobiety; jeżeli ona potrafi, że tak powiem, przykuć męża do siebie (a kobiety to umieją), to nie

będzie zdradzana ani okłamywana. Zresztą, nie zrzucajmy winy tylko na mężów — bo czyż niema żon, które zdradzają? My, kobiety, stojmy na straży szczęścia małżeńskiego, nie pozwólmy, byśmy do czasu tylko królowały w sercach naszych mężów, a z chwilą zgaśnięcia pożądania, zostały zdetronizowane. Oczywiście, zmysłowy pierwiastek miłości może dość prędko zniknąć, ale mamy jeszcze mężów, kochających w nas duszę; a jeżeli miłość sięga do głębi duszy, to w najszlachetniejszych swych pierwiastkach wzajemnej przyjaźni, życzliwości i ofiarności wszystko trwa.

Liskorianka.

Co radzić?

Dawno pragnę się z Szanownemi Czytelniczkami podzielić moją niedolą. Mąż mój, człowiek kryształowego charakteru, niezwyklej zdolności, był dla mnie wyjątkowo dobry i byliśmy bardzo szczęśliwi. Nagle spadła na nas katastrofa: mąż zachorował i obecnie od kilku miesięcy znajduje się w zakładzie psychiatrycznym. Lekarze nie robią mi żadnej nadziei. Wyobrażacie sobie panie moją rozpacz. Mieszkam, na wsi; nie przyzwyczajona do życia wiejskiego, muszę być sama gospodynią, kucharką, niańką i myśleć o wszystkim! Z powodu choroby, mąż został zwolniony, pensji nie otrzymuję, w dodatku muszę opłacać zakład, gdzie mąż przebywa, 4,75 zł. dziennie. Ogłosiłam się w dziecuninach, aby znaleźć jaką posadę, lecz bezskutecznie — z dziećmi nikt nie chce mnie przyjąć. Zwracałam się do różnych, zajmujących wysokie stanowiska, osób, które bywały dawniej częstymi gośćmi u nas — nawet odpowiedzi nie dostałam! Aby zapobiec większej biedzie, urządziłam 3-miesięczny kurs robót ręcznych, miałam 14 uczennic. W prowadzeniu tego kursu bardzo były mi pomocne wzory z „Bluszczu“ i „Kobiety w Świecie i w Domu“. Dzięki tym pomocom, nauczyłam się szyć tak ładnie, że dawna moja krawcowa podziwia mię. Obecnie z powodu robót wiosennych na wsi, miesiąc temu zakończyłam kurs. Co robić dalej? Zaległam z opłatą zakładu. Wojewódzki Urząd Zdrowia przysłał mi upomnienie; o ile w przeciągu 14 dni nie zapłacę 235 zł. 45 gr., będę miała sprawę sądową! Podałam o zwolnienie mnie z opłaty, lecz nie uwzględniono. Może która z pań da mi radę, co mam robić.

Wdzięczna będę bardzo, jeżeli która z pań napisze parę słów zachęty, abym nabrała sił do dalszej walki o chleb powszedni.

Mar. Mil.

O scentralizowanie dobroczynności.

Nie posiadając talentu literackiego, nie odważyłabym się nigdy zabierać głosu na łamach „Bluszczu“, ale w „Naszej Mównicy“ może skromny mój styl nie będzie raził, a może słowa moje znajdą oddźwięk wśród Czytelniczek. Milczenie ogólne przekona mnie natomiast, że projekt, o którym chcę pisać, jest utopją.

Chcę poruszyć sprawę żebractwa, które niezaprzeczenie jest wrzodem naszego społeczeństwa. Nie wiem, jak jest w innych miastach Polski, ale u nas żebractwo dochodzi do olbrzymich rozmiarów. Zdaję sobie sprawę, że część żebrzących, to ludzie, którzy nie zasługują na wsparcie, a wykorzystują łatwowierność ogółu; ale nie ulega kwestji, że społeczeństwo, pełne tężyzny i poczucia sprawiedliwości, nie powinno patrzeć obojętnie na nędzę współbraci.

Słowa moje mogą się wydać oklepane, banalne, ale fakt pozostaje faktem i jakaś rada musi się znaleźć.

Jest u nas dużo towarzystw filantropijnych, które jednak nieregularnie zasilane i z rozproszonemi siłami nie wiele zdziałać mogą. Otóż rzucam myśl: Czy nie możnaby stworzyć „Centrali filantropijnej“, która, skupiając u siebie wszystkie możliwe środki materialne i wszystkie siły, chętne do pracy (bezinteresownie, czy też za wynagrodzeniem), stworzyłaby instytucje potrzebne do walki z nędzą, według najszerszych obecnych pojęć, a więc: żłobki, warsztaty pracy, schroniska etc.?

Fundusze mogłyby wpływać z dobrowolnego opodatkowania się obywateli. Naogół ludzie zrażeni są często wielu nadużyciami sił kierowniczych w niektórych instytucjach filantropijnych, o czem dowiadują się nieraz z dzienników. Kierownictwo „Centrali“ musiałoby więc być powierzone ludziom o bezsprzecznie „czystych rękach“. Mogłaby być też zorganizowana komisja wywiadowcza i kontrolująca, aby wszyscy członkowie wiedzieli, że pieniądze ich nie idą na marne, ale są udzielane osobom, naprawdę zasługującym na pomoc.

Inicjatorka projektu, wrazie zrealizowania go, powinna pierwsza stanąć do pracy. Nie mając, niestety, zdrowia, nie mogłabym brać udziału czynnego, ale deklaruje wpłacać 3 zł. miesięcznie do ogólnego funduszu. Prócz tego mogę zapewnić trzy podobne składki od mych znajomych. Nie jest to dużo, przyznaję, ale jakież olbrzymi kapitał mógłby powstać, gdyby tylko kilka tysięcy osób (w większem mieście) zadeklarowało takie kwoty! A co do sił pracujących, to może znalazłaby się pewna ilość kobiet, które i obecnie pracują wydatnie w rozmaitych instytucjach filantropijnych, a mogłyby dalej kontynuować swą pracę w Centrali?

A co zyskamy? Podzieliwszy się małą częścią swych dochodów z biednymi, spełnimy jeden z obowiązków obywatelskich, a bardziej realny zysk, to w przyszłości, zanik żebractwa, które chyba wszystkim dało się we znaki!

Plan mój powyższy, jest zaledwie nieudolnym szkematem, ale mam nadzieję, że inne kobiety, wytrawne społeczniczki, potrafiłyby z tej mej myśli stworzyć wielkie i piękne dzieło!

W. R. — Kraków.

Wszystkie Sz. Korespondentki, które proszone były o fotografie, zechcą przysłać je najpóźniej do dn. 1 maja r. b.

Redakcja.